



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY”

(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnośnieniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Zienna Nr. 7-a.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt większych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Reklamy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmuje: Administracja Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism periodycznych.

Sprzedż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ. *Polityka.* Przyszły kanclerz. — Jeszcze o rozruchach galicyjskich p. I. Franko. — Tydzień polityczny. — *Powieści.* Nastrój balowy przez Aleksandra L. Klekanda. *Hum.* Ignacy M. — *Sprawy ekonomiczne.* Przelom białej II. p. E. P. — *Literatura i sztuka.* Literatura polska: Asnyk, Bracia Leśnicie p. W. P. — Choroby w literaturze p. Z. — *Żyć.* Z Francji p. P. — *Żyć.* Liberum veto p. Posła Prawdy. — Na widnokręgu p. Nieborskiego. — Wspomnienia pośmiertne: Leopold Ranke, Jerzy Walz, Jan Dobrzański. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

Szan. abonentów kwartalnych prosimy o wczesne odnowienie przedpłaty.

POLITYKA.

PRZYSZŁY KANCLERZ.

Wogóle kanclerszowi niemieckiemu przyszedł trzeba, że o siebie i wszystko, co jego jest, wytrwale dba. I sutą dotację po wojnie francusko-pruskiej przyjął, i ze składki narodowej kasał sobie dobra kupić, i o wszystkie zniżki lub podwyżki podatków, które go dotyczą, zawsze się upomina. Pamiętamy, jak nastawał w sejmie na zwiększenie zapomogi, przeznaczonej dla odnowy jego pałacu, jaką wreszcie stoczył kampanię z pogwałceniem i praw i swyzwozów, wprowadzając na katedrę uniwersytecką swego przybocznego lekarza, ożłowiaka „z moralnym defektem” prościej mówiąc — karanaego kryminalnie. Nawi niemyś do dotąd zadawali sobie pytanie: kogo też kanclerz wybrał sobie za zastępcę w urzędzie? Pytanie to przestało być zagadkowem od chwili, gdy hr. Herbert Bismark został mianowany sekretarzem stanu w ministerystum spraw zagranicznych.

Nawet książęta z domu panującego nie przebiegają za granicą tak szybko drabinystojętnat. Wyniesiony tak wysoko syn Bismarka liczył zaledwie 36 lat. Od r. 1874, w którym wstąpił do służby dyplomatycznej, przeszedł wszystkie stopnie, poprzedzające obecną godność, która jest, przynajmniej pod względem uposażenia, drugą w hierarchii urzędniczej (kanclerz pobiera 54,000 marek, sekretarz stanu w ministerystum spraw zewnętrznych 50,000,

iani ministrowie po 36,000). Syn więc ma już nad sobą tylko ojca, a gdy ten ustąpi — (oprócz cesarza) nikogo.

Choćż obecny następca tronu okrył się tajemniczością i nie zdradza, jakim będzie cesarzem, nie ulega wątpliwości, że sprawy państwa złożony on w ręce doświadczony i pewne. Niemcy są mocarstwem potężnem, ale utrzymanie ich na tem stanowisku i przy dotychczasowym uroku jest zadaniem bardzo trudnem; wybór przeto sternika musi być rozważony dobrze. Według prawie powszechnego głosu Herbert Bismark nie należy do orłów i zdolnościami rodzica nie przypomina. Ale ma to być wielka siła robocza, wykształcona w doskonałej szkole. Do służby dyplomatycznej — powiada jedna z gazet niemieckich — trzeba być wychowanym, wzrosnąć w jej tradycjach. Rutyna jest tu niezbędniejsza, niż gdziekolwiek indziej. Do tej zaś rutyny należy rozległa i bliska znajomość ludzi tego towarzystwa europejskiego, które dostarcza ambasadorów i ministrów polityki zagranicznej. Bez genialności może dyplomata obyć się, bez rutyny — nigdy.* Hr. Herbert Bismark, jako poseł lub delegat przy różnych dworach, miał sposobność poznać i przyciągnąć ludzi, a jako uszeń dobrego mistrza — zdobył rutynę. Od wczesnej młodości porostając ciągle przy ojcu, wykształcił się w sztuce dyplomatycznej. Ojciec ten choć by i jest ciągle sfinksiem, nie odkrywa swych planów przed nikim a od pomocników swoich żąda bezwzględnej uległości. Gdy innych ministrów nazywa „kolegami, którzy mu często przeciwstawiają się zawsze działając nieskrepowani — budzi złostliwe uśmiechy; gdy pokazuje parlamentowi jakieś akty polityczne, wydobyla z ukrycia te, które mu w danej chwili do celu służą; gdy zostanie zagadnięty o jakąś sprawę dyplomatyczną, odpowiada, że nie ma obowiązku tłumacze-

nia się lub odsyła ciskawych do... archiwum; gdy powierza podwładnym jakąś robotę lub konsulom misję, nie wtajemnicza ich w swoje zamiary. Rzecz naturalna, że przy tym systemie, przy samowładztwie i szczerem osłanianiu wszelkich działań potrzebuje on na najważniejszem miejscu mieć ożłowiaka, któremu by ufał i któryby spełniał jego wolę a zachowywał dyskrecję nie tylko z urzędu. Ukochany syn był najodpowiedniejszym i dla dogodzenia miłości ojcowskiej najbardziej pożądanym. Tym względem zadowolony on tak wysokie stanowisko w tak młodym wieku.

Czy ten przyszły kanclerz dźwignie należycie swój wielki ciężar? Zależy to od innego pytania, czy przetożony wyżej pogląd jest słuszny, mianowicie, czy dyplomacie wystarcza sama „rutyna” bez osobnych zdolności? Bądź co bądź, jeśli prawdopodobieństwa nie omyła, Europa już dziś wie, kto po ks. Bismarku miejsce zajmie. Zajmie je duma praska, sumiennosc, rutyna, znakomita szkoła. W Niemczech przynioty to są daleko częstsze, niż geniusz. Niedarmo największy poeta tego narodu określił geniusz jako ciemność. Nigdzie okroślenie to nie ma większej racyi. Niemcy wzrosły, spotęgniały, dokonały wielkich dzieł — ciemnością. Natura im obdarzyła ich wyjątkowymi siłami, ale obdarzyła ich wyjątkową pracowitością i wytrwałością. Jest to w Europie olbrzymie mrowisko, które ze dzieł buduje gmachy, które wszędzie się rozposciera i które tysiące rasy szalone, tysiące rasy się skupi i groźnem pozostanie. Po Sadowie i Sedanie sławiono Bismarka i Moltkego, ale sławiono — i słuszenie — również kwatremistrzów, liwerantów, nauczycieli wiejskich — słowem wszystkie kółka olbrzymiego zegara państwowego i społecznego, które w nim działają nigdy niezmordowane, a zawsze dokładne. Nie ma dziś

w świecie narodu, który byłby mniej sympatycznym, a jednocześnie bardziej pouczającym, niż niemiecy. Zwłaszcza dla ludów drobnych, prowadzących ciężką walkę o byt, możnolno wyrabianących swą przyszłość, jest to nieoceniony wzór. Z tego bowiem przykładu mogą się one nauczyć, że społeczeństwo nie powinno być tam tylko, co mu geniusze, bardzo rzadko pojawiają się, dadzą, ale głównie tem, co ono nieustannie zbiorową pracę wytworzy.

Jeżeli więc na czoło państwa stanął człowiek, będący woleniem tej mocy, którą Goethe nazwał geniuszem, człowiek taki nawet bez orlego wzroku i lwiej siły może nawać państwową sterować umiejętnie. Przedwożenie są toż, zdaniem naszym, żarty z przyszłego kanclersza Niemiec, który przywdzieje za obszerną dla niego szatę ojca. Szatę ową krawcy parlamentarni obetną mu, dopasują do mniejszych rozmiarów — i będzie on ją nosił dobrze. W sprawach praktycznych — a do takich należy polityka — nigdy nie wiadomo, gdzie skuteczniej działa geniusz, a gdzie doświadczona i wytrwała praca.

JESZCZE O ROZRUCHACH GALICYJSKICH^{*)}

Łódź, w maju.

Do artykułu więcej szanownego p. Jeża „O rozruchach w Galicji,” pomieszczonego w 21 n-rze *Pravdy*, pozwólcie, że dodam jeszcze słów kilka. Sprawa to, zdaniem mojem, niezmiernie ważna, a przez

^{*)} Pragnę przyczynić się do wyjaśnienia tak ważnej i tak często zamienianej sprawy, mniemam, że słuszny dobrze zarówno jej, jak i naszym czytelnikom, podając głos, który z nowej strony rozstrzuwa poważnie to nieszczerne i zmienne pismo. *Red.*

POWIEŚĆ.

NASTRÓJ BALOWY

przez

Aleksandra L. Kiellanda.

Wezła na gładkie marmurowe schody bez żadnego wysiłku, bez wahanja, ciągnięta jedynie siłą swej urody i dobrych skłonności.

Zajęła miejsce w salonach dostatku i bogactwa, nie zapłaciwszy za wstęp ani cnota, ani dobrem imieniem — a jednak nikt nie umiał powiedzieć, skąd się wzięła; przypuszczano tylko, że z szlacheckiej rodziny.

Jako podrzutek na jednym z przedmieść Paryża przeżyła lata dzieciństwa wśród występku i biedy, o których ci tylko mogą mieć pojęcie, którzy to życie znają z doświadczenia.

My, oзорpiąc wiadomości z książki i opowiadań, musimy używać do pomocy całej naszej fantazy, by stworzyć sobie przybliżone wyobrażenie dziecięcej nędzy wielkiego miasta, a i wtedy zapewne najjaśniejsze nasze obrazy blade są wobec smutnej rzeczywistości.

gazety galicyjskie weale niedostatecznie i nieważnie rozjaśnione. Z właściwą sobie bystrością Jeż zaznaczył pewne momenty, które złożyły się na nadanie tej sprawie takich rozmiarów i takiego rozgłosu w Europie, na jaki ostatecznie nie zasługiwała. Zgadza się zupełnie na to, że nie było to rozruchy, lecz niepokój, chociaż nazwa nie obejmuje doniosłości faktów, ale w rozbiórce samej przyczyny objawów znajdujemy się niekiedy niedokładności w wywiedze Jeża, które radbym sprostować w tym jedynie celu, żeby na samą sprawę, dotykającą podstaw narodowego bytu plemienia polskiego, nie padała ani drobina fałszywego światła.

Na dwa czynniki zwrócić szczególną uwagę: na rząd austriacki i na szlachtę galicyjską. O rządach austriackich w Galicji, o konstytucji i autonomii naszej ziemi Jeża nieupenie są sprawiedliwie. Mówi on np., że „konstytucja austriacka znosi różnice stanów,” tymczasem przeciwnie, ta konstytucja jest na wkrótce mieszczańską, kapitalistyczną, a więc opóźnia wszystkie stany na korzyść kapitalizmu, a biorąc rzecz względnie do Galicji, na korzyść kapitalizmu niemieckiego. Nie słuszne też jest twierdzenie, że galicyjska czy konstytucja czy autonomia „jest gmachem na piasku łaski monarcharzej zbudowanym.” Konstytucja i autonomia nadane zostały jednakowo i pod największymi jednakowymi stosunków dla wszystkich krajów monarchii, a twierdzenie Jeża, że „rząd w Galicji ma prawo w każdej chwili konstytucję odjąć” jest zupełnie mylne. Ani rząd, ani cesarz takiego prawa specjalnie dla Galicji nie posiada i odjąć przynależnych swobód bez zamachu stanu nie może.

Również mylnym jest dalsze twierdzenie Jeża, że „Austrija ustanowiła prawo wyborcze, dzięki któremu do sejmku krajowego wprowadził może, kogo jej się podobą.” Austriackie prawo wyborcze jest nieodrębne od austriackiej konstytucji i jeżeli kogo krzywdzi, to tylko chłopów i robotników na rzecz kapitalistów i szlachty. Ciokawa rzecz, kogo też zapomną tego prawa wyborczego może Austrija wprowadzić do sejmku galicyjskiego? Otóż jeżeliby uchyła wszelkich możliwych prawnych sposobów, żeby obłopi nie głosowali za szlachtą, to mogłaby wprowadzić

48 obłopskich na 60 szlacheckich i kapitalistycznych kandydatów. W oczach szlachty galicyjskiej taki skład sejmku byłby „klęską narodową,” kogoż byliby nią też i w oczach Jeża? A locz więcej, prócz tych dwóch kategorii, może Austrija czy to legalnymi, czy nielegalnymi środkami wprowadzić do galicyjskiego sejmku krajowego?

Niezupełnie słuszne jest i ostatnie mniemanie, że „Austrija udarowała Galicję jezuitami.” Jeżeliby kto w tej sprawie chciał jak koniecznie obwiniać, to chyba o tyle, że Austrija nie zabrania żadnemu krajowi mieć u siebie jezuitów. Lecz kto ich do Galicji zapraszał, kto przyzywał się do ich wzrostu w potęgę, do oddawania w ich ręce monasterów rusińskich, kto posyła do ich konwiktorów swoje dzieci, kto dziesiątkami tysięcy szorzy między ludem ich wydawnictwa, jeżeli nie szlachta polska?

Z tych uwag wypływa omyślność twierdzenia Jeża, iż „najpierwszym i najważniejszym zadaniem kierowników samorządu galicyjskiego jest skarbienie łaski monarcharzej, której postradanie wystawiało Galicję na gorzszą w pasy i popęgi uciegi, aniżeli to, jakiemu podlega W. k. Poznańskie.” A przecież sam Jeż wspomina, że „w zaraniu ery konstytucyjnej” szlachta galicyjska stała w opozycji do rządu, i co? Czy ujęto ją w pasy i popęgi? Nie! Rząd wówczas miał wręcz jeden tylko środek — popierał rusinów. I pod groźną tej okropnej możliwości, żeby rusini broni broni nie zdobyli jakichkolwiek łask w Wiedniu, polacy „orzęmem i pakunkiem z opozycyjnego przeszli do rządowego obozu.” A więc nie pod groźną pasów i popęgow!

Kategoryczne twierdzenie Jeża w tym względzie zmienilibyśmy w ten sposób: swobodę przyznane Galicji przez Austrię są rzeczywiście konstytucyjne, lecz Galicja nie korzysta z nich jedynie dlatego, że szlachta nie chce!

Okropna zmiana! Sam to widzę i postaram się przytoczyć fakty na jej usprawiedliwienie. A jeżeli przy tem nie pójdę za przykładem Jeża i nie będę wyszukiwał prawdziwych i nieprawdziwych „lagodzących okoliczności,” nazywając to dla tego tylko, że lagodzące okoliczności mają wartość

czuły charakter, cicha, lagodne naposobieństwo i radała piękność.

Gdy urosła, ożenił się z nią. Żyli z sobą przykładnie. Mimo wielkiej różnicy wieku miał zawsze do niej nieograniczoną ufność, ona zaś zasługiwała na nią w zupełności.

Małżonkowie nie żyją we Francji tak wspólnem życiem, jak u nas, dlatego też wymagania ich są daleko mniejsze, a rozczarowania mniej smutne.

Nie nazywała się szczęśliwą, lecz była zadowolona. Charakter jej był jakby stworzony do wdzięczności. Nie nudziła ją bogactwo, przeciwnie cieszyła się nim w dziecinny niewiedzący sposób. Nikt jednak tego nie widział, gdyż w całej jej istocie tkwiła zawsze wielka powność siebie i godność. Domyślała się, że jej pochodzenie nie było bardzo prawe, lecz ponieważ nikt na to nie odpowiadał, zaprzestała pytać; w Paryżu trzeba o tylu rzeczach myśleć.

Zapomniała już o swojej przeszłości. Zapomniała tak, jak my zapominamy orzech, jedwabnych wstążek i złotych listkach z lat młodych, ponieważ nigdy o nich nie myślimy. Lecz one zamknięte w szufladzie, której nigdy nie otwieramy. A jednak, rzuciwszy kiedykolwiek okiem na te zapomniana szufladę, wnet byśmy zaważyli, gdyby choć jednej z tych róż, lub najmniejszej wstążeczki zabrakło. Wtedy bowiem przypominamy sobie wszystko najdokładniej, wspomnienia leżą tam za-

Było właściwie już tylko kwestja czasu, kiedy ją pochwyci występku, jak kolo zębate chwyci tych, którzy się zanadto do maszyn zbliży, by ją potem, po krótkim życiu, spędzonym w wirze smrototy i poniżenia, odrzucić z bezlitosną dokładnością maszyną w ciemny kąt, gdzieby mogła, zapomniana i nieznana, zakończyć tę karykaturę ludzkiej doli.

Wtedy, będąc 14-letnią już dziewczyną, została, jak się to czasami zdarza, „odkryta” przez bogatego i wysoko postawionego człowieka, gdy pewnego dnia biegła jedną z głównych ulic miasta do ciemnego pokoju w oddalonym zaułku, gdzie pracowała a kobiety, której specjalnością były balowe kwinty.

Bogacza niepociągnęła jedynie wyjątkową jej piękność; ruchy, cała istota i wyraz tych napór już rozwiniętych rysów — wszystko zdawało się wskazywać, że w dziewczynie odbywa się walka pomiędzy wrodzonym dobrym charakterem i bezczelnością. A że człowiek ów posiadał wszystkie nieuzasadnione i nieciche zachcianki zbytniego bogactwa, postanowił sposobem próby biedne dziecko wyratować.

Nie było trudnem ją posiadać, gdyż nie należała do nikogo. Otrzymała nazwisko i została oddana do jednej z najlepszych szkół klasztornych; opiekun jej zaś z przyjemnością mógł widzieć, jak wszystkie jej złe instynkty ginęły i zanikały. Rozwiniął się w niej bardzo przyjemny, trochę nie-

jedynie w czasie wymiaru kary, a nie tam, gdzie chodzi o spowodowanie poprawy i gdzie to można osiągnąć szczerem, otwartem i niezogadaniem przedstawieniem całego ciężaru winy.

Czem jest, czem była szlachta galicyjska? Jakże się jej dzieje, jakie zasługi? Już mówi, że jeszcze przed 26-tu laty przeszła w ciągu lat 88 ciężką i trudną, a bolesną szkołę doświadczeń życiowych. Ciężka to, a za mało znana szkoła, warto przypomnieć jej główne momenty.

Przy końcu XVIII wieku szlachta hula na grobie ojczyzny; "towarzystwo lwowskie" świetnością swoją budzi podziw Niemców (zob. Łoziński: *Towarzystwo lwowskie przy końcu XVIII w.*), a tymczasem ta sama szlachta w inwentarzach, robotnych w 1788 r., nakładła na chłopów jeszcze większe ciężary pańszczyzniane, niż były za Rzeczypospolitej, wszelkimi sposobami opiera się reformom Józefa II na korzyść włóściarzy i w przeciagu kilkunastu lat wypycha z wyroków sądowych około pół miliona florenów kar za uciek poddańców.

W r. 1816—1820 szlachta galicyjska hula (patrz *Alchadar* Chojackiego), wyrzeka krocie na jedno przyjęcie cesarza we Lwowie 1817 r., łasi się do gubernatora Haury, a w tymże samym czasie rząd na nalegania szlachty i arcybiskupa Ankwicza zabrania używać rusińskiego języka we wszystkich szkołach ludowych wschodniej Galicji i przeprowadza nowe inwentarze gruntowe, w których szlachta przyswoiła sobie gminne (chłopskie) lasy i pastwiska i masę chłopskich gruntów, t. zw. pustek; ogromna ilość sporów gruntowych i drobnych buntów chłopskich, przez rząd usmieranych, była wynikiem tych reform.

Od r. 1841 — twierdzą zwykle jej apologety — szlachta na sejmach postulatówy rokrocznie domagała się u rządu zniesienia pańszczyzny, z zaparciem się własnych interesów. Na nieszczeście, znam te historie dość dokładnie i mogę powiedzieć, że rzecz ta wcale tak poetyczną nie była. Z jednej strony widzieli szlachta, że pańszczyzniana robota wobec zmienionego kształtu produkcji rolnej zaczyna się nieopłacać, a wobec coraz większego naprę-

nia stosunków społecznych zaczyna być coraz bardziej niebezpieczną; lecz z drugiej strony w śladem z niefortunnymi reformatorów szlacheckich owych czasów; ani w hr. Krasickim, ani w Kraitskim, ani w Wasilewskim chłopom przebrzykliwym nie zagosiła myśl, żeby ulopować pańszczyznę darować. Wieczne odczynszowanie ziemi największą względnie spotykała sympatję; hr. Krasicki i tego nie żądał, lecz jedynie nadania gruntem chłopskim możności — służenia za hipotekę dla dźwigów bankowych, żądał tego, co też szlachta galicyjska w r. 1867 jeszcze z dodatkami uczyniła, znosząc ograniczenie stopy procentowej przy pożyczkach hipotecznych, żądał wolności lichwy i wywłaszczenia chłopów. Prawda, domagał się on prócz tego zakładania szkółek ludowych, mimo, że w tym samym czasie inni szlachcice urządzali formalne obawy na wiejskich dyktach, którzy uczyli chłopów dzieł czytań, i oddawali ich do wojska. Wogóle t. z. rozprawy abolicyjne w sejmie postulatowały lwowskiemu 1841—45 wcale nieszaszyciśne świadectwo dają szlachcie galicyjskiej, przeciwnie, w całej nagości pokazują jej politykę ośnawidzającego samolubstwa, przewleknięcia i zamazywania najważniejszych sprawy narodowej dla drobnych swoich klasowych interesów.

Rok 1848 był nową próbą i jeszcze raz, pomimo okropnej lekcji 1848 roku, pokazał, że szlachta nie dba o przyszłość narodu, nie dba o jego podstawę, o lud, lecz dla jedynie o siebie, być może w tem przekonaniu, że naród, to ona sama. Rok 1848 nawet rządowi austriackiemu pokazał niemożność utrzymania na ląd pańszczyzny — tylko szlachta galicyjska widzieć tej niemożności nie chciała. Do ostatniej chwili, do marca, do kwietnia 1848 r. obstawała przy tem, że pańszczyznę darować a nawet znieść nie trzeba. Nagle, jak grom z jasnego nieba, spada postanowienie cesarskie, *darowując* chłopom pańszczyznę w imieniu rządu. Szlachta oburzona o mało nie podnosi buntu, krzyczy, że rząd nie ma prawa darować tego, co nie jest jego własnością, a chłopów, którzy ośmielają się głośno mówić o swobodzie, kaze okładać kijami. Lecz oto z łona „demokratycznej” Rady narodowej rozlega się okrzyk, żeby szlachta ubiegła rząd i sama od siebie

darowała pańszczyznę, zrzekając się wszelkiego za nią wynagrodzenia. Jedyna zdrowa i polityczna myśl, jaką można było powziąć w owym czasie. Niektórzy panowie ją spełniają, większa część opiera się i czeka na rząd, później zaś wszyscy, nawet i ci, co uroczyście rzekli się byli pańszczyznę i wszelkiego za nią odszkodowania, zgłaszają się do rządu po nieszerzoną indemnizację, która na całe półstolecie miała podjąć okrzieszony rozwój naszego kraju!

Nie zaprzeczę, że w sprawie indemnizacji (płaty za zniesioną pańszczyznę) rząd austriacki odegrał rolę haniobną, lecz nie trzeba zapominać, że i rola szlachty była tu nie o wiele piękniejszą. Przedewszystkiem szlachta wszelkimi sposobami starała się uszczuplać rozmiar cesarskiej darywiny, wyłoczywszy taki np. przykład, jak prawo propinacyjne, t. j. prawo wyłączenia produkowania i szynkowania gorących napojów. Historia galicyjskiej propinacji i jej „wykup” na zawsze zostanie smrotem dla szlachty galicyjskiej, głośnom zaprzeczaniem wszelkich wygłaszanym przez nią fraszeców o miłości dla ludu, o nabywaniu i umoralnieniu chłopów!

W jednym rzędzie z propinacją można postawić sprawę nieszerzonego wykupu służebności, przy którym szlachta za cenę kilku morgów lasu i pastwisk na długie dziesiątki lat w sercach ludu zasiała ku sobie nieprzyjaźń i nienawiść. Ciężka to, lecz dotychczas w całej swej pełni nie wyświecona sprawa, która wywołała w ciągu lat trzydziestu setki drobnych buntów chłopskich, pociągając za sobą setki wojskowych egzekucji. Przyprowadziła do ruiny i zubożenia setki wiosek. A sprawa to do dziś żyjąca i piękna, tak, że szlachta, zdaniem moim, sama siebie łudzi, myśląc, że ją ostatecznie załatwiła. Nie wiem, ani jakiej podstawie się twierdzi, że „w zaraniu konstytucyjnej ery okazywało zachęcenia, mające na celu poprawę stosunków społecznych.” Studiowałem pilnie sprawę oddania sejmowi galic. z lat 1861—1873 i mogę powiedzieć to tylko, że zaraz na pierwszych jego posiedzeniach w całej swej głębokości zarysowała się przepaść między dworem a chłtą, i że na domaganie się posłów chłopów: rusinów i mazarów, by ile możności wyrównano tę przepaść, szlachta

ważę świeże, zawsze jednakowo przyjemne, jednakowo gorące.

Tak i ona zapominała o przeszłości, zamknęła ją do szuflady, której klucze zarzuciła.

W noce jednak śniła czasem straszliwie. Czuła nagle, jak stara czarownica, u której mieszkala, biła ją w płozy i trzęsła, by wygnąć w zimny poranek do kobiety sprząającej balowe kwiaty.

Wtedy wyrwała się na łożku, w śmiertelnej trwodze, błędnym wzrokiem przenikając ciemności, i dopiero, gdy poczuła dławną koldrę, miękkie poduszki, gdy palce jej przesunęły się po bogatej reszbie rozkoszanej łoża, podosząc jej male aniółki, ani odciągły od jej oczu ciężką zasłonę widziadeł — oddawała się w zupełności rozkoszy tego błogiemu stanowi, który odzyskamy, gdy poznamy, że sen przyrządy i wstępną był tylko snem.

Oparta o miękkie poduszki jechała na wielkim bal do posta; im bliżej była celu, tem jechała stawała się wolniejszą, aż karetka znalazła się w takim ścisłu, wśród którego tylko krok za krokiem posuwał się mogła.

Na wielkim otwartym, płaciu przed pałacem poselstwa, oświeconym pochodniami i gazowymi latarniami, zebrali się gęste tłumy ludu. Niestylo przechodnie, którzy się zatrzymali, lecz głównie robotnicy, próżniacy, biedne kobiety i podejrzane damy stały w sztywnej masie po obu stronach całego rzędu powozów. Żółtawo uważy

i trywialne karty grudem spadały na delikatnych panów.

Do uszu jej dochodziły wyrazy, których już od wielu lat nie słyszała i zaszewniała się na myśl, że, zapewne, ona jedna tylko, spośród całego rzędu siedzących w karetach, zrozumiała grubiańskie wyrażenia paryskiego motłochu.

Zupełnie rozpatrzywał twarze otaczających ją ludzi i zdawało się jej, że zna wszystkie; wiedziała, co ci ludzie myśla, co się dzieje we wszystkich tych ciasno zwartych głowach i powoli całej szereg wspomnień opowiadał jej zupełnie. Broniała się, jak mogła, lecz sama już nie poznała się tego wieczoru.

A więc jeszcze nie zgubiła klucza do tej tajemniczej szuflady! Bronią się, wyciągnęła go napowrót i wspomnienia opowiadały całą jej istotę.

Myślała o tem, jak często sama, będąc na pół jeszcze dzieckiem, potykała się znowu oczami do piękne panie, które wystrojem jechały na bale lub do teatru; jak często w gorączkiej zazdrości lała łzy na te kwiaty, które mozołnie składała, by inne kobiety niemi odoobić. Tu wiedziała ona to samo palające żądzą czuły, że sama zazdrość niewygasza, przepielniona nienawiścią.

Itych brunatnych, powąchnych mezozyz, którzy na pół pogardiwiem, na pół groźnym spojrzaniem spoglądali—znala wszystkie.

Czy będąc jeszcze małą dziewczynką, nie leżała w kącie z szeroko otwartymi

oczami, słuchając ich mowy o niesprawności życia, o wyszuku pracy.

Wiedziała, że ci ludzie nienawidzą waszyńskiego, wszystkiego—od tych dobrze utrzymanych koni i paradnego stangreta aż do tej czystej, blyszczącej karety, a najgłośniejszej tych, co w niej siedzą i tych nieczym nienasyconych opiorów, te damy, których stopy i blichtr więcej kosztuje, niż każdemu z nich uda się w ciągu całego życia pracę zarobić.

Gdy tak rozmyślała, siedząc w rzędzie karet, powoli przesuwały się wśród tłumów, wypłynęły nowe wspomnienia, napół zabarte obrazy szkolnego życia w klasztorze.

Przypomniała się jej opowieść o Faraonie, który chciał sepać żydów na swym bojowym wozie przez morze Czerwone. Wiedziała, jak fale, które sobie wystawiła zawsze czerwonomi, na podobieństwo wysokich murów, stoją po obu stronach ogipsy.

W tem rozległ się głos Mojżesza; wyciągnął on swój kij ponad wodami i szły się fale morza, i pochlonyły Faraona wraz z wszystkimi wozami jego.

Wiedziała, że to mury, które po obu stronach teraz się wznoszą, są daleko dzikiejsze i drapieżniejsze od fal morza Czerwonego; wiedziała, że potrzeba tylko jednego głosu, potrzeba tylko Mojżesza, żeby wprowadzić w ruch to morze ludzi, które wnet niszczone wszystko, wyłoje się i pogrzebie cały blask

odpowiadała bądź słodkimi a pustymi frazesami, bądź krzykami oburzenia, bądź drwinami i pogardą, bądź też formalistyczną kretacją. Od tego czasu aż dotąd jako tylko wyraźną dąsność widzimy śród szlachty galicyjskiej: za żadną cenę nie dopuści do sejmu chłopów, ani kandydatów chłopskich, nie dopuścić owych *enfants terribles* opozycyjnych, którzyby głośno, po prostu i bez frazesów wypowiadali, co lud boli i czego mu trzeba.

Grzechem byłoby pominąć prace szlachty galicyjskiej około regulacji kadastru i podatku gruntowego; dwukrotnie już one przechodziły przez jej ręce i w obu razach przysłużyły pożądaną dla niej owoce: łatwiejsze opodatkowanie większych posiadłości, a przeważnie większych ciężarów podatkowych na chłopów. (Zobacz o tem świętne artykuły Nawrockiego, umieszczone 1882 r. w *Dzie p. t.*: „Podwójna kredka”).

Podniosłem tutaj jednakże ważniejsze, ogólnokrajowe sprawy, jednakoż dotykające rusińskiego i mazurskiego chłopca. Mogłbym ten szereg powiększyć jeszcze, podnosząc takie, jak drogowa, konkurencyjna regulacja podatku domowego, egzekucyjne podatkowe itp. W przeprowadzeniu wszystkich tych spraw jeden zawsze duch więcej: uszczuplenie interesów i praw chłopskich na korzyść interesów i praw szlacheckich. I tu mówią jeszcze o zagranicznych agitatorach, sięgających niepojętą wieść, gdzie kaady chłop widzi, że każda ważna dla jego życia sprawa przeszedłszy przez ręce szlachty rządzącej staje się dla niego nie pomocna, ale szkodliwa!

Lecz nie dość na tem! Właśnie w tam zapamiętalem przestrzeganiu jedyniczym wśnych, klasowych interesów leży klinoz owej ugłębłości szlachty względem rządu, owego galicyjsko-anstryackiego patryotyzmu, owego poświęcenia interesów kraju (*recte* interesów chłopskich) dla państwa. Dla nie utrzymania autonomii krajowej i konstytucyjnych swobód w Galicji potrzebna jest szlachcie także oszczędność i protekcyjna rządzona, lecz dla zdobywania sobie przywilejów i praw wyjątkowych, dla osobistej kariery, dla której też w każdej chwili szlachta nasza gotowa poświęcić i sama naruszać najważniejsze swobody konstytucyjne.

bogactwa i siły pod swemi krwawo czerwonymi falami.

Serce jej było silnie i drżąc schowała się w kącie powozu. Lecz nie ze strachu: pragnęła tylko nie być widzianą przez tych, co stali naokoło niej, gdy wstąpiła się przed nią. Pierwszy raz, w ciągu życia, własne jej szczęście wydawało się jej niesprawiedliwością, smutną.

Oczy to tu jej miejsce, tu, w tych eleganckich powozach?

Oczy nie należy ona raczej do tej tam falującej masy?

Miała i wrazenia napół już zapomniane podniosła się w niej i ożyły jak dźwięki zwierzęta w długim zamknięciu trzymane. Czuła się tu obca, cudzoziemką w tem blizszym jej życiu, i z pewnego rodzaju demoniczną tęsknotą przypomniała sobie miejsce, a wśród których przyszła.

Schwyciła drogocenny szal koronkowy, opanowała ją jakaś dżika ochotliwie zniszczenia czegoś, ochłodziła podrażnioną w kawałki. W tem zajął ją powód przed bramą pałacu.

Lokaj otworzył drzwiczki karety; ona wysiadła powoli z wstawiem sobie tygodni uśmiechem i arystokratycznym spokojem.

Dobiegł szybko młody, grzeszny posłak *attache* i był nad wszelki wyraz szczególny, gdy przyszyła jego ramie; jeszcze więcej zachwycony, gdy w jej spojrzeniu, zdawało mu się, że zauważył jakiś nie-

Oto są te porządki i tendencje, te winy ojców i synów, na które niedawne rozruchy rzucają jaskrawe i złowrogi światło; że protest mazarów był nieuzupełniony może świadomym całej objętością i całego systemu tych porządków, to postaci rzeczy nie zmienia; im bardziej był on nieswiadomym, tem gorzej.

I. Franko.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Z powodu wyjazdu za granicę rosyjskiego ministra spraw zewnętrznych p. Gieraa wnioskują dzienniki, że wszelkie ważniejsze sprawy na Wschodzie są już załatwione, lub przynajmniej odłożone na czas pewien. Dodad jednak trzeba, że wyjazd ten jest dopiero projektem, który i że lada niespodzianka naruszy może w każdej chwili „zgodne porozumienie” mocarstw. Grecya pomimo zmiany gabinetu o rozbrojeniu nie myśli, blokada trwa ciągle, bo p. Trikupis nie chce złożyć oświadczenia, że rząd atenski poddaje się woli mocarstw. Do ostatnich dni maja na granicy tureckiej ciągle odbywały się walki, drobne wprawdzie, ale bądź co bądź dziwnie trochę świadczące o pokojowym usposobieniu obu stron. Rezultat walk tych nie wypadł na korzyść греков, turecy bowiem przeprowadzili do Saloniki około 300 jeńców.

Wybory do zgromadzenia narodowego bułgarskiego zostały już ukończone, opozycja poniosła zupełną klęskę, przeprowadziła bowiem tylko 5 kandydatów w księstwo i 13 w Rumeli na ogólną liczbę 300 posłów. W Jeni-Zagrze podczas wyborów jeden ze stronników Onkawa zabił dowodzącego oddziałem wojska oficera, żołnierze oburzeni rzucili się na tłum i rozpalili go. W spisku na księcia i Karawelowa przynajmniej udział eks-dyktarza rumelijskiego, dwaj z nich: Gessow, były prezydent zgromadzenia narodowego w Filipopolu i Wieloskow, dyrektor szkół, zbiegli za granicę. Książę Aleksander zamierza odwiedzić króla rumuńskiego, co tłumaczy

jako zamiar pośredniego zbliżenia się do Rosyi.

W Wiedniu niespodziewanie nastąpiło przesilenie gabinetowe. Rząd austriacki, nie pytając o zdanie parlamentu, zawarł z Węgrami ugodę handlową, która w wielu punktach niekorzystna jest dla Cislitawii, zwłaszcza dla Galicji, szczególnież zaś w sprawie sprowadzania nafty kunkazkiej. Posłowie galicyjscy nie mogą zgodzić się na uchwałę, rujnącą produkcję krajową. Z nieporozumienia tego skorzystała lewica i jeden z jej członków, dr Suosa, postawił wniosek olonia zagranicznej nafty, czy to surowej, czy rafinowanej i dopiero po dokonaniu oczyszczenia, zwracania odpowiedniego procentu opłaty. Polacy odpowiedzieli, że będą głosować za wnioskiem Suosy, klub Lichtensteina popiera ich również, rząd zaś grozi, że wobec przegranych danych Węgrom, zmuszony będzie podać się do dymisji. Można jednak przewidzieć, że hr. Taaffe wybrnie z kłopotu i galicyjanie, zadowoleni jakim pozorem następstwem, odejdą z kwiekim. Tyle razy już tak było, dalszegoż teraz ma być inaczej? Ohyba że jakaś niespodzianka...

Głastone pozyskił opozycję pewne następstwa, w zamian czego żąda, aby był przyjęty stanowiący w drugim czytaniu; wtedy zaś rząd dotychczasowy projekt cofną, parlament odroczy i na jesiennej sesji przedstawi zmienionym wnioskiem, w którym zarówno udział posłów irlandzkich w ogólnym parlamencie, jak i prawo veto Izby gmin stanowiące określone zostaną. Taktyka ta zjednała dla gabinetu kilkudziesięciu opozycjonistów, wątpliwym jest wszakże, czy irlandzcy zgodzą się na takie zmiany. Bil o wykupie ziemi, z powodu braku czasu do rozpraw, wniesiony będzie dopiero w jesień.

Francuska Izba deputowanych wybrała komisję, która ma ułożyć projekt uchwały w sprawie pretendentów. Z 11 członków 6 jest w wydaleniu. Prawdopodobnie rządowi przyznaniem będzie prawo wygnania księcia w razie potrzeby, ale natychmiastowego wypowiedzenia komisja nie proponuje, właściwie tylko skrajna lewica domaga się tego. Głównie chodzi tu o księcia orleañskiego. Książę Napoleon bowiem i syn jego nie są uważani za niebezpiecznych dla rządu Rzeczypospolitej.

wyżył blask; a już prawie w siódmym niebie, gdy oził bicia puls jej ręki. Polen dumy i nadziei poprowadził ją z wyszukana grzeźnością przez gładkie marmurowe schody.

* * *

— Niech mi, szanowna pani, raz powiedzieć rzeczy, co za dobra wieszka obdarzyła panią tym dziwnym darem, że we wszystkim, co się pani dotyczy, jest coś szczególnego, coś osobliwego? Ot, naprzykład, ton kwiat w jej włosach; ma on już jakiś szczególny czar w sobie, i wygląda jak gdyby był zroszony białą rosą poranną. A gdy pani tańcuje, to zda się, że posadzka drży falowo, a żeby się zastosować do jej nót!

Hrabia był sam zadziwiony tym długim i udatnym komplementem, gdyż zwykle nie było mu łatwo logicznie się wyrażać. Oczekiwał też, że piękna dama wyrazi mu swoje uznanie.

Lecz został zawiązany. Ona przechyliła się przez balkon, gdzie po tańcu wchodziła ładna powietrze wieczoru, przysłuchiwała się tłumowi i ciągle nadjeżdżającym powozom. Zdawało się, że ją zupełnie nie zajmuje brawura hrabiego, lecz słyszał ją szepocząc niezrozumiały wyraz: „Faraon.”

Ochciał się już skarżyć, gdy sama się odwróciła. Zrobiła krok jeden do salonu,

satrzmiała się tuż przed nim i spojrzawszy na niego dwójgim dużym, diawnych oczu, jakich nigdy jeszcze u niej nie widział.

— Nie sądzę, żeby jakaś dobroliwa wróżka stała przy mem urodzeniu, panie hrabio, Lecz w tem co pan o moim kwiatku i o tańcu powiedział, widzę wielkie odkrycie, jakiego dokonała pańska przenikliwość. Wytlumaczę panu zaraz resztę tej poranną, która na kwiatkach moich się kroi. Są to kły, panie hrabio, kły, które zawiść, zawiędzone nadzieje i boleść nad niemi wylały...

Mówiła ze zwykłym spokojem i po przyjacielskim pożegnaniu znikła z salonu...

Hrabia stał osłupiały. Rzucił spojrzenie na tłumy. Był to widok, jaki często spotykał; nieraz wiele złowśliwych i dobrych dowcipów rzucił o tej wielogłowej masie, lecz dopiero dziś wciśmierzł zrozumiał, że owa masa była najnieprzyjemniejszą ościęciem, jakie kiedykolwiek palnawcy zagrażał mogło. Przecież i przytaczające myśli przesunęły się przez czoło pana hrabiego, gdzie znalazły dla siebie miejsca podostatkami. Zupewnie był zbity z tonu i przez całą jedną polkę nie mógł wrócić do swego pierwotnego nastroju.

Tłom. Ignacy M.

Na pogrzebie pułkownika Herbingera, z którego Ferry zrobić chciał koła ofiarne, za nieprowadzenia w Tonkinie, radykaliści urządzili manifestację przeciw b. prezesowi gabinetu, ale rzecz cała skonczyła się na krzyku.

Wybory do parlamentu włoskiego wypadły na korzyść rządu, w tem znaczeniu, że p. D'pretis będzie miał za sobą większość, opozycja cieszy jednak z oszczędności zwycięstw w wielu okręgach. Zresztą oczekają rząd nowe kłopoty stłumienie zaburzeń rewolucyjnych, które przyszedłszy chwilowo, wzbuchają znówu i pomniejszenie członków wyprawy włoskiej, zamordowanych we wschodniej Afryce, co wymagałoby oddzielnej wyprawy, na którą nie ma środków.

W Afryce na wybrzeżu gwinejskim, około azotki Benin osadnicy niemieccy dali się tak we znaki murzynom, że oni napadli na koloniję zbuntując ją i 45 szczytanych do niewoli niemoż w okrutny sposób zamordowali.

SPRAWY EKONOMICZNE.

PRZEŁOM BELGIJSKI.

II.

Mówiąc o kopalniach węgla, p. Pirmex śpiewa znnowu ulubioną swą piosenkę: „Jeżeli — jak wykazałmiś — bogactwo i siły produkcyjne kraju wzrosły, to jaka jest przyczyna przyczyna zmniejszenia dochodu do kapitału? Przyczyną ta jest, oczywiście, powiększony udział pracy w podziale społecznego bogactwa. Jeżeli to powiększone bogactwo nie spływa do kieszeni kapitalistów, musi ono wpadnąć do sakw robotniczych — są bowiem dwie tylko kategorie biorących udział w podziale bogactw: ci, co dają kapitał i ci, co dają pracę.”

Mamy tu doskonałą próbę ekonomicznej sofistyki, którą sam autor nie omiada następnie inną stroną obrócić. Doktrynerska dyalektyka wydaje się być nieprzewidywalną. Jeżeli atoli weźmiemy w rzecz gołym okiem, nie zaś przez tendencyjne zabarwienie okulary, przekonamy się naprzód, że podwyższenie płacy w kopalniach węgla z jednej strony, podobnie jak w rolnictwie, wątpliwe jest i nieznane, z drugiej zaślepi o pewnych przyczynach odrębnych, nie mających nic wspólnego z rzekomym prawem „przemienienia bogactw.” Żywi w kopalniach węgla zmniejszyły się istotnie, skutkiem wszakże przyczyn, związanych z warunkami produkcji. W r. 1883 na 84 kopalni węgla, istniejących w prowincji belgijskiej Hainaut, 40 zamykało swe rachunki z deficytem 4,162,750 fr. Oczemu przypisać należało ten niedobór? Nie zwiększoną płacę robotniczą bynajmniej, lecz przede wszystkim fałszywej rachunkowości, dla uchylenia się bowiem od podatku, towarzysząca kapłani mają zwozają przedstawiać interesy swe w świetle gorsem, niż to bywa w rzeczywistości. Podobaj wypadek sprawdano we Francji z powodu kopalni Anzin, której dochód sz. r. 1883 minister robót publicznych obliczył na 1,200,000 milionów franków, zarząd zaś towarzysząca utrzymywał, że ma w tym roku deficyt na 25,000 fr. Następnie, ceny belgijskiego węgla; wakat wojny 1866 r., a bardziej jeszcze podczas wojny 1870 — 1871 r., niezwykłe wzrosły. Spowodowało to wielki napływ kapitałów do tej gałęzi produkcji. Po przypływie nastąpił, jak zwykle, odpływ, reakcja, co spowodowało obniżenie zysków. Dla utrzymania kon-

kurencyi zagranicznej kopalnie belgijskie zmuszone były zniżyć ceny węgla i jednocześnie zwiększyć produktywność pracy, to ostatnie udało się głównie przez zaprowadzenie maszyn i ulepszonych sposobów produkcji. Próbowano także zniżyć jak najbardziej płacę robotniczą, to jednak nie udało się w takim stosunku, jakby sobie tego pp. przedsiębiorcy życzyli. Bertrand przypisując następującym przyczynom utrzymanie się płacy robotniczej w kopalniach po nad pewien poziom minimalny: Zmniejszała się naprzód liczba górników, w skutek zaprowadzenia maszyn i ograniczenia produkcji, co wpłynęło na podwyższenie płacy pozostałych. Podczas niezwykłego pomalnego okresu 1872—73 przyjęło do kopalni mnóstwo nowych robotników, nawet kobiet i dzieci. Znaczna część ich została potem wydalona; liczne zwoje, jakie wydarzyły się następnie, były tam przeciwko nadmiernemu obciążeniu płacy; jeżeli zaś ostatecznie robotnicy otrzymują dziś nieco wyższą, to zarówno produktywność ich pracy, jak i dzień roboczy się powiększył.

Tak rzeczy stoja w istocie. Dobroczynne skutki, działających rzekomo mimowolnie, „praw ekonomicznych” spowodują się do pewnej sumy usiłowań, z trudem podejmowanych, lub też są tylko pozornie świętymi. Wywody swe zresztą osłabił znawca p. Pirmex uspokajającem dla kapitalistów twierdzeniem, iż nie należy mniemować, że udział kapitału zmniejsza się wogóle w podziale bogactw. Jeżeli względny udział mniej jest dziś zyskowny, to natomiast bezwzględna, ogólna suma zysków od kapitału zwiększa się ustawicznie w sposób nader silny. Jeżeli pojedyncze kapitały dają dziś mniejszy procent, dzieje się to w skutek niezwykłego ich wzrostu. Samo już nagromadzenie, zwiększając podatek kapitału, wpływa na obniżenie procentów; straty to jednak wynagradzają się samem zwiększeniem kapitałów. Zyskują w tem oczywiście ci głównie, co mają wielkie i powiększające się kapitały, znoszą bymowem drobne, niepowiększające się dość szybko, tracą na wartości. Wielki kapitalista zyskuje na ilości, mały traci całkowicie.

Jak wygląda ten raj ekonomiczny belgijski, przekonad się możemy z ustepu pisma katolicko-socyalnego *L'Association catholique* (z r. 1881): „W Belgii wielki przemysł rozwijał się bez przeszkód; konkurencja miała wolne pole przed sobą; żadne prawo jej nie krępowało; inicjatywa prywatna znajdowała tu grunt przyjaźni. Używano też kobiet i dzieci w kopalniach węgla, przedzielaniach bawlny, wśród pyłu, wywołującego suchoty, przy tkaniu w gorach 30—40 stopni. Robotnicy pracują tam często od 13—14 godzin dziennie. Zmowy też i zaburzenia zdarzają się często. Namietności rozprężyły się po obu stronach i działały słoje; żadna prawda i prawo społeczne nie ujęło w karby tego bezładu. Następstwem tego stanu jest milion robotników, zapisanych w biurach dobroczynności. Wydziedziczonym tym jarmazynę daje państwo, dają klasztory, same żyjące z jarmazyną itd.” Belgia, jak wiadomo, jest krajem, w którym klerykalizm bujnie się rozwijał, nie każdy jednak zdaje sobie sprawę z tego, że rozwijał on się tam, jako polip pasożytny na rozkładającym się ciele społecznym, zagrożonem przez samolubny liberalizm ekonomiczny. Klasy niżej trzymają się kosiola przez ciemotę, dla jałmużny, dla widzieli przyszedłszy szczęścia zagrobowego, migających przed oczami tych, którzy nie mają już żadnej nadziei na szczęście doczesne. Bogaci trzymają się kosiola dłużej, że tak każde moda, arystokratyczna tradycja, którą dziś przywać sobie choć plutokracja, dlatego wreszcie, że kosiół jest, bądź co bądź, widziadłem na kroszopoczą dumy niedarzą. Sojusz ten klerykalizmu z rozkładającym się liberalizmem możemy od-

należeć i we własnych naszych dziejach XVI i XVII stulecia.

Przejdźmy teraz do uwag o przełomie belgijskim znanego ekonomisty-eklektyka, Emila de Laveleye. Autor zaczyna od ostatnich zaburzeń w Charleroi, starając się przytem upewnić wszystkich i uspokoić, że nikt w Belgii nie myślał jeszcze tym razem, iż jest w przededniu rewolucyi. Żadna partya, żaden dziennik poważny, żaden poseł nie żądał zaprowadzenia stanu obłąkania i zawieszenia swobód publicznych. Instytucje nasze — upewnia autor *Współczesne socjalizmy* — nie są bynajmniej zagrożone, społeczeństwo nie zgini, nawet królewskość wolna jest od napieści. W Belgii nie ma partyi republikańskiej, nasza bowiem monarchia jest racjonalną polityką. Lud belgijski radzi się sam i jest równie wolny, jak we Francji, Szwajcaryi lub Ameryce. Że jest „wolny” sprzedawca się najwięcej dającemu, nie wątpimy, czy można jednak w kraju cenzusa wyborczego mówić, że lud sam się radzi? Autor zaznacza, że wprawdzie partya socjalistyczna w Belgii wzrasta, lecz jako grupa zorganizowana, słuchająca swych przywódców i programu, jest ona jeszcze niedłona i słaba. Zaburzenia, jakie wzbudziły — mówi Laveleye — są oznaką poważnego położenia i nie dają zbyt wielkiego zaufania... na przyszłość.

Odsuwając tedy grób na czasy późniejsze, autor spokojniej pragnie rozebrać przyczyny obecnego kryzysu.

Są one liczne i złożone. Jedne są czysto miejscowe, inne zależą od ogólnego przesilenia ekonomicznego w Belgii i Europie całej; inne wreszcie zawsze są od rozwoju samej cywilizacji społecznej.

Do miejscowych należy np. zbuczenie wzorowej huty skłanej p. Bandoux. W hucie tej zaprowadzono najnowsze maszyny i ulepszenia, które nie obniżyły podobno ilości robotników, produkcyja jej jednak wzrosła przez to do ogromnych rozmiarów, co spowodowało zamknięcie hut mniej doskonale urządzonej. Wzrost ten pozwał zarobku i zysku setki innych robotników i drobnych wytwórców i ci nie zaniechali wzniesić zarzewia zemsty.

Ogólniejszą przyczyną jest przełom w Belgii i całej Europie. Belgia stała się wielką fabryką tej ostatniej, gdy zaś zaczęło się przesilenie i zaprowadzono ale na granicach — fabryka stęgła. Rosną kapitały niedłys wole wyrobów belgijskich: żelaza, stali, maszyn. Dłis ten rynek — mówi Laveleye — jest prawie zupełnie dla nas zamknięty. Wywoziłmy na sumę ogromną płótna do Włoch; dziś Włochy same je produkują, a nawet robią konkurencję naszym produktom na Wschodzie. Niemcy i Francya brały z Belgii wyroby metalurgiczne — dziś ale zagroziły im drogę prawie zupełnie. Toż samo w Stanach Zjednoczonych.

Belgia — mówi dalej autor — jest ofiarą okrutnego kontrastu, jaki w tym okresie przejściowym istnieje między stanem ekonomicznym i politycznym krajów cywilizowanych. Wielki przemysł opiera się na międzykrajowym podziale pracy, stocownie do właściwości poszczególnych katóg krajów; przypuszcza on wolną wymianę i ułatwienia handlowe wszelkiego rodzaju. Możliwe to jest wtedy, gdy między państwami panuje harmonia, między ludami zaś braterstwo. Niestety! Zamiast tego piękno marzenia ekonomistów, świat dzisiejszy ukazuje nam narody ubrodzone od stóp do głów, zadrzose, wrogo względem siebie usposobione.

Było to istotnie ekonomiczne mrzonki, oparte na fałszywych wyobrażeniach o owej harmonii. Ekonomistom się zdawało, że dość jest porwać wewnątrz „wszystkich węzły korporacyjny, dość uczynić robotników i przedsiębiorców „wolnymi,” żeby do doskonała zgoda zapanowała w świecie. Ide-

alny ten podział pracy i wyniany, na wolnej konkurencyjny oparty, miał wprowadzić ową zgodę w stosunki międzynarodowe. I tu jednak, podobnie jak w stosunkach wewnętrznych, był fałszem. Kraje lepiej do walki o byt przygotowane, jak Anglia lub Belgia, mogły tylko wyzyskiwać swe uprzywilejowane stanowisko na niekorzyść krajów mniej posuniętych w kulturze. Nie dziwnego, że ideal ten mało znalazł zwolenników, szczególnie między tymi, którzy słynęli mieli za posiadłości wielkimi rydwanami kultury i że Belgia bankrutuje, a raczej przedsiębiorcy jej zostali zawiadzeni w bujnych swych samolubnych nadziejach.

Słuchamy jednak dalej utyskiwań i wywodów Laveleye'a. Belgia — mówi on — kraj wolności i pracy (!), neutralny i spokojny, otworzył szeroko swe granice, leżąc na wzajemność — wzajemność wilka i jagnięcia — dodamy. Przełom też dokonał ten silniejszy kraj, ten, który był wielkim warsztatem, pracującym dla zaspokojenia potrzeb świata całego.

Jedną z specyficznych przyczyn przesilenia widzi Laveleye w zwiększeniu produkcji jednocześnie z niezwykłym zmniejszeniem środków wymiany. Produkcya drogich metali upada. Moneta biał przestano w całej prawie Europie, co powoduje drożyznę etc.

Ostatnią wrzescie — powiada Laveleye — przyczyną zaburzeń, przyczyną ogólną, głębszą i trwałą, jest wzrost socjalizmu. Wniknięcie idei socjalistycznych w społeczeństwa wszystkich krajów cywilizowanych jest, według niego, faktem widocznym. Przenikanie to — zdaniem belgijskiego ekonomisty — najbardziej jest szybkim i systematycznym, pomimo praw wyjątkowych, w Niemczech. Pierwszem źródłem socjalizmu jest chrześcijaństwo, on bowiem rozszerzył o braterstwo zasady równości między ludźmi i braterstwa. Z wrastającą falą socjalizmu walczyć można — według Laveleye'a — tylko socjalizmem. Prócz rewolucyjnego jest jeszcze socjalizm konserwatywny, chrześcijański, katolicki, nawet państwowy. W szerzeniu i zastosowaniu idei tych ostatnich kategorii widzi ekonomista belgijski jedyną tamę, uchronić mogącą społeczeństwa europejskie, od grożącego im przewrotu.

E. P.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Asnyk. Bracia Lerche, komedia w trzech aktach.

Choć minęła już epoka, w której surowe przepisy sztuki określaly czas, zaś się przedmiot świeży — jak fika ukuć, jak tytuł ułożyć — to przecież w zakresie utworów o tej społeczność stanowią one po dziś dzień dla świata literackiego niemal zasadę, mierzającą uchwalać porozumieniem. Ma żeby z tłumy gwarów chwili i bezpośrednich wrażeń codziennych, bijących w oczy i widzianych z bliska wydobyć ogólne myśli przewodnie i ująć je w zrozumiałą, harmonijną całość, na to potrzeba spokoju miedra i mistrzowskiej pewności ręki, potrzeba z chaosu wydobyć prosto kształty. Taką pracę za ciężką dla ramion zwyrodniałych podjął Adam Asnyk w chwili największego gwałtu sadanego tysiącem ródaków, przemówił słowami prawdy gorzkiej, ani jednego grzechu nie przebaczył swoim, ani jednego państwa wrogowi nie ujął, dał obraz wierny tego, co zaszło i pokazał, dlaczego zająć musiało. Obywatel ułożył pocieśzając, poeta dał

obywatelowi wymowy. Bracia Lerche zwykłym lokiem teatralnym nie godzi się mierzyć. Po za ogólną ludzką wartością typów chowają się tysiące łaski praktycznych, wspomnień, rad i nauk, które wpadają w duszę słuchacza, jak krople kordyaliu o endownej władzy. Oczną dzieła jest prostota i zwięzłość: ośm osób, trzy akty — oto całe ramy, z których wyrwają na świat ogromna epopeja rasowej walki dwóch narodów. Ale za to — co za ludzie — jakie akty! Ludzie z krwi i kości, dziedziczą wad i zalet pokoleń, akty, pędzące jak kaskada, spioniewane wiem popędów i uszów. Dwio polekie wioski w Poznaniaku, jak dwio wyspy sterzący śród oceanu niemieckich posiadłości. Jedna jest gniazdem Radwanów, druga Naleczów. Radwani stanowią całą rodzinę. Dziadek Tadeusz, b. kapitan wojsk polskich, typ ziemianina nieugiętego w walce o narodowość, syn jego Stanisław skłopotany gospodarstwem w trudnych warunkach i córka Malwina, stara panna, wychowująca z miacierzyską miłością sierotę, wesół trzpiotek! Dziwnie, córkę człowieka, który miał się z Malwiną żenić a porucić dla innej. Wrzescie panna Irene, córka Stanisława a wnuczka Tadeusza, typ poważny, zdolny do pracy i ofiary. W domu Radwanów już od roku bywa Juliusz Nalecz, sędzia, szlachetny, młodzieniec poetyczny charakter słaby a gospodarz niedołężny. Kocha się on w obu pannach, nie mogąc zrobić ostatecznego wyboru. Ci ludzie — ten mały odrębny światek szlachty wiejskiej — widzą życie pełne kłopotów i trosk wśród zapadł z postępowem zaboru niemieckiego, któremu prócz poczciwości i dobrych chęci żadnej innej siły nie umięja przeciwstawić. Głowa rodziny, kapitan najwięcej z nich ma energii, ale to czołowiek innych czasów, który nie nadaje się już do walki, choć nie zaśniejdzie w przesadach, skoro mowi, że synowi chłopu, byle był uczciwy, odda rękę wnućki bez wahania. Debowie, dingo obronny wobec nieśmów, zostaje wrzescie wystawiony na groźne niebezpieczeństwo. Pan Stanisław zamotał się w niezręczne sprawy pieniężne, a wcale jego nabył Otto Lerche, właściciel sąsiedniej huty szklanej, oddawna ostrzegając łakome żuby na polski majątek. Chcąc uniknąć odroczenia sprawy przez licytację, zgłasza się on do p. Stanisława, dając mu na rękę 50,000 za ustąpienie ze wsi. P. Stanisław odrzuca propozycję, bojąc się, by wiadomość o utracie dziedzicznej wioski nie zabiła mu ojca i ludzi się nadzieje, że przecież skądś spadnie ratunek. Niespodziany zwrot stawa sprawę w świetle odmiennem. Lerche spostrzegł, że Stefan, brat jego przyrodni, znacznie młodszy, urodzony z matki polki, pokochał p. Irene. Ciał duszą przylączył on do domu, który mu przypominał dzieciństwo pod okiem matki spędzone. Otto chwytą tę sposobność, by szlachciowi polskiemu zabrać i wioskę i córkę. Oświadcza przeto brata o rękę Irene, nie zważając na jego uwagi nad tak spiewanym targiem. Irene przystaje na szwagier, bo Stefan nie jest jej wcale objętym, choć boli ją to, że tak po kupiecku o jej rękę się domaga, widząc ją za ledwie drugi ras i nie uprzedziwszy jej ni słowem. Zroszta myśl, że urastajo gniazdo rodzinne rozbraja resztę jej niepewności. Ale ciotka Malwina, dowiedziawszy się o układzie, oburzona, że Irene poświęca się, idąc za człowieka — jak mniema — nienawistnego jej sercu, zdradza tajemnicę przed dziadkiem, który wchodzi do salonu w chwili, kiedy Otto Lerche, z kupiecką przechwałką wrzeca Irene klejnoty przedłużone w imieniu brata. Straszne słowa wyrzutu padają przeciw wnućce z niedzielnego rodu Radwanów, wnuczka dziadka, który przesłał krew za ojczyznę — może wydać dzieci, które nie będą umiały po polsku i doczekać się wnuków, którzy

staną w szeregach prześladowców twojej narodowości." Wrzasnęła Irene pada dziaćkowi w objęcia i zwraca słowo dane Stefanowi, mówiąc, że interes po kupiecku prozeń traktowany rozchwiał się, więc nie sobie do wyrzucenia nie mają. Stefan z boleścią w sercu, zgubiony obłędem a niezadowolonym objęciem ukochanej, nie ma innej skargi prócz słów: widzę godny nie byłem tego szczęścia. Ta pełna godności boleść ujmie nawet dziadka, który mowi: podobna mi się ten chłopiec. Ale inaczej przylączył wiadomość Otto Lerche. Nie szczęściu on Radwanom prostactkich, pogardliwych wyrzutu, obiegując im, że wypędi ich z torbami, a „któ wówczas zechce córkę bankrutu?" Na te słowa uniesiony szlachetnością Juliusz prosi o rękę Irene. Ale nim to — „szczęścia w domu nie było — bo go nie było w ojczyźnie." Juliusz nie czuł się szczęśliwym jako narzeczony Irene, a ona sama ciotce wyznaje, że go nie kocha; Dziwna zaś robi się poważna i smutna, na myśl, że traci Juliusza. I zewnątrz ciągną gesty, gesty chmurowi. Juliusz urodzony w Królestwie Polskim pada ofiarą rozporządzenia i odbiera rozkaz opuszczenia niemieckiego państwa. Zapłatany w nieoszczędliwe oporacy pieniężne, jedyny ratunek przed ostateczną nędzą na tłaćwie znaleźć może w sprzedaniu młyna, nędżnie prowadzonego. Jeszcze chłopca, a dwa ostatnie gniazda polskości zostają rozbite, rozłoża się o kiju żebraćmy po świecie. Zgubionym podaje rękę szlachetny Stefan, w którego umyśle i sercu pod wpływem magicznym polskiego dworu dawną rozgorzła się walka. Z walki tej spowiada się przed Irene, uprosiwszy sobie chwilę rozmowy przed wyjazdem na zawiesz: „Gdy zobaczyłem, jak zelazna ręka zwyciężyła zwycięzcy nad nieoszczędliwym a szlachetnym narodem, gdy się przekonałem, że rod niemiecki, ów rod myśliciel i pędów, który niósł niegdys przed ludzkością pochodynie, upojony teraz szalem wielkości, znieważa poczucie prawa i ludzkości, gniewem i oburzeniem wyruszyło się aż do dna moje ludzkie sumienie. Dwoistość mego pochodzenia tem gwałtowniej na jaw wystąpiła. Krew matki dopominała się o swe prawa, wołając: Niemcy silne i uciemiężające nie potrzebują ciebie. Twoje miejsce w uciśnionych szeregach." Krew matki przemówiła — Stefan kupił młyna Juliusza za cenę taką, że właściciel dawnij zarobił na czysto 50,000. Ale na wiadomość o nazwisku nabywcy, duma budzi się w Juliuszu, który nawet pojedynkiem Stefanowi grozi. Ten jednak, nie odmawiając walki, zwycięża spokojniemi słowami: Obaj kochamy pannę Irene, obaj winniśmy jej zapewnić szczęście i spokój. Ja inaczej nie mam prawa — czyż możesz więc odrzucić mi propozycję? To wyznanie przekonywa Juliusza i łagły młodych ludzi przyjaciół. Stefan jest już polakiem — Otto przybysza zapożdo, by go wyrwać ze szlachetnego dworu. Próżno dno woła: „Pomyśl tylko, czy możesz się wahać w wyborze? Z jednej strony zjednoczone Niemcy, panujące nad Europą, cywilizacja, wielkość, sława, dobrobyt, a z drugiej — co? Upadły narodek, wijący się w prochu pod stopa zwycięzcy, przesady, ciemnota, nędza. Przy nas jest siła, armia, przykładza mocarstw, słowem świat cały — a z nimi kto?" Utraciwszy Stefana, jako niemca, wala z niezmierną boleścią: Już nie mam brata w wybiega. Zogubionym ze strony Stefana zatrzymuje dziadek z kobietami, bo Juliusz uwiadomił go o waszytkiem i dał kosza Irene na rzecz przyjaciół, by pójść za szlachetnością serca i pójść Dziwnie. Wszyscy szczęśliwi a kapitan porzucza mara, rad, że „tak dzielnego chłopca odbił wielkiej, niemieckiej ojczyźnie."

Oto szkiceł komedyi Asnyka, ale szkiceł ten w utworze ma blizszość oży, wspaniałą mimikę twarzy, ruchy giętkość

CHOROBY W LITERATURZE.

żywego ustroju. Są błędy i usterki, które każdy dojrzy. W trzecim zwłaszcza akcie, gdzie sprawa szybko dąży ku końcowi, ludzie schodzą się jakby umówieni, to znów niktą, że seony, zostawiają swobodnie pole drugiemu do wyrzucenia przed publicznością swych myśli — widownia pusta czeka nierzaz na kogoś. Działni ułatwia autor bardzo widocznie sposobność do podслушания mówiących o pojedynku panów, ale są to rzeczy, o które na Anyka nie można się gniewać. Łada partaoz igłą i nicią poceruje, a pokostem zatrza takie drobne seramy na przyszem płótnie. Są to rzeczy pospoliche w rozwijaniu akcyi — a czyż wprost przeciwnego raczej nazywałybyśmy się i gładziły talent twórczości Anyka z poprzednich, nie zbyt życiem kipiących utworów seonichych. Tu zaś żyć nie mały za duto. A ludzie jacy? Tacy jak w rzeczywistości. Nikt więcej nad zwycajną miarę nie robi: Irena godzi się na ofiarę Ifigenii nie bez skrytej skłonności do miłego Toasa, Juliusz swobodnie wykrzesa się nie kochanej panny, Stanisław oddaje córkę, ale za cenę wielką — za uratowanie bytu — Stefan jest istotnie bardzo szlachetny, ale dobrze na tem wychodzi i nie robi resztą ofiary nad siły. Sam tylko Otto Lerche unosi się nad zwykłą miarę, on tylko dla zasady swego wielkiego państwa krwi i bagneto poświęca jedynie lepsze, prawdziwe uczucie — miłość braterską. Ten brutalny, ordynarny prusak, noszący ręce w kieszeniach, sztydzący bez litości z sentymentów i frazesów (jak mówi) polski, jest uosobieniem istotnej siły — siły nieubaganej dla słabych a nieocenionej dla pogromcy, który takie ponure i szorstkie potęgi umie ujarzmić i zaprzęda do żelaznego wozu. Jakoż ten Lerche przerażający spokojny i pewny swej przewagi wobec rozpoczynających Juliuszów i nieokreślonych Stanisławów! Cud w nim drapieżna rasa, chociaż łup, ale karna — waląca prosto do celu po grzecznych trupach. Nieśmiesznie ogarnia widza, gdy Lerche żartuje i sztydzi, gdy niesgrabnie obraca się w salonie, którego cień w wielkach ma wypobane kłoszenie, ale dreszcz kości prznika. Nawet te talary, które Juliusz wziął za młyn — i te które Stefan włożył jeszcze w Debówie, uciął twardy tauton, Otto Lerche pracu, bezwzględności i sprytem. Anyk nie popiebił ani jednym, ani drugim, nie ujął też nikomu a jednak ludziom zdaje się, że to satyra. *Difficile est non scribere satyram*. Tylko kobiety polskie pięknie i dzielnie się trzymają. Irena i ciotka więcej warte od mężczyzn, one mają odwagę nie podać ręki Ottonowi, one bronią się całą siłą moralną, a pamięć matki Stefana jak dobry duch unosi się nad biednym debowickim dworem. Anyk i tu trzymał się prawdy, która Bismark sam w ostrych wypowiedziach słowach. Niczego nie stworzył sztafetu, żadnej tendencji utworom nie nadadł, bo czyż nawrócić Stefana dowodzi czegoś więcej, jak przypadkowej zgola okoliczności — czy ma wagę ogólnej zasady? Niel Zrobić — to też poecie zarzut, że niepoehlebnie rodków przedstawiał. Błaby to zarzut i ptytki. Kto chce ranę wypalić, przykład do niej druk czerwony. Nie on winien, że swąd przyrząz rozchodzi się w kolo — to rana się pali, kłóć się dobrze się sprawili. Kto chce dziełem sztuki budzić sumienie narodu, musi być nieuczny na wonie próżności narodowej — musi głęboko sięgnąć. Ludzie poszrami w takich jeszcze razach, to już nie dobrać, ale grzech. Bracia Lerche są społecznym rachunkiem sumienia znacznej części narodu.

W. P.

S. Ribbing, profesor medycyny, wydał w Szwecji dziełko pod tytułem: „O literaturze współczesnej i jej zamilowaniu do opisów słabości“ (*Sund*, 1886), które potrącają o ważny przedmiot, zasługując na bliższe rozpatrzenie.

Nie ma człowieka, któregoby się żyć tu i w dziele, na krótki czas przynajmniej, nie poszarpały choroby, dopóki śmierć wszystkich nieci nie przetrznie; co więc dziwnego, że i w powieści, w tem zwierciadle życia ludzkiego, zajmuje choroba poczesne miejsce.

Wzrosłszy w literaturze, będącej naszym ciągiem romantyzmu, rozwiązującej najróżnorodniejsze zagadnienia psychiczne i społeczne jednym i tym samym sposobem. Oto zastawia jakiś skrytohojona sidła na bohatera powieści, stawia sądowi przysięgłych fałszywych świadków, lecz — o diawol! — ukurast przed samym wyrokiem dostaje apoplekii, osem fałszywy świadekowie do głębi wzruszeni, wyznają całą prawdę i onota bohatera triumfuje. Albo ta piękna, wzniosła postać bohaterki, idealnie doskonała niewieście, otrzymawszy list od swego niewiernego narzeczonego, pada ofiarą zdrady i z puknięciem sercem schodzi przed czasem z tego świata nagle, w całej dziesięć świętości. W istocie jednak umiera człowiek rzadko na puknięcie serca (czy nawet umiera?), a jeżeli zachodzi ten wypadek, to „ofiarą“ z pewnością nie jest piękna, ani romantyczna istota, ale będzie wychudłą i wyblada suchoćnia jak np. Marya Besumarché w *Clavijo*, która pod koniec przynajmniej szczydła, pluje krwią i umiera na galopującą suchotę.

Z postępowaniem czasu schodzi poeta z wyznawców do życia rzeczywistego. Nauki przyrodnicze i medycyna stają się dla ogółu przystępniejszemi. Praktyczny lekarz nie obraca się już w Olimpie eudaemonnych aparatów, nie kroczy po obłokach ciemnych nazw, lecz stępując do śmiertelników, wyjaśnia im to, co potrzebują wiedzieć. Ałoi wyniki niezawiesz bywają pościaszając, najgłośniejsze uderzenia wysiłki niedokładna znajomość rzeczy. Wozmy np. pod uwagę tak często używany motyw opilstwa. W dawniejszych powieściach takiego Maryyta a nawet Dickens, przedstawia się cały proces tej choroby bardzo idealnie. Ostatecznie wychodzi na to, że ciało ludzkie, przesiąknięte alkoholem, zapala się i gore bez płomieni... A nie jest to jakimś widziadłem fantastycznym, ale wszystko rzeczywistością, brana serio.

W przedmowie do *Bleak-House* powołuje się wyraźnie autor na francuskiego chirurga. A przecież, gdyby jakiś lekarz podał za przyczynę śmierci apoplexie się w wewnętrzny ogień, to ręce, że straciłby całą swój kredyt moralny. Dniejsi powieściopisarze zbliżają się więcej do prawdy i natury. Jeżeli znakomity humorysta amerykański Bret-Harte pokazuje nam w katuszach kopalni kalifornijskiej ofiarę, a raczej skutki powolnego zniszczenia przez alkohol, to przeprowadza słabość tę przez cały proces dyagnoz i patologii. Przypominając sobie tego podupadłego pijaka z historii Mrs. Skaggs, jak nie szczęśliwie stara się zlewaniem zimną wodą usunąć zawrót, jak wkłada dżg, rozczochra głowę pod pompę, jak oży mu osłupiały, jak potem kroczy, drząc cały nerwowo, jak dostaje napadów halucynacji. Wszystko to opisane z całą wiarościaną obserwacją lekarskiej.

Przechodząc od dzikich kalifornijskich do ogniska hyperkultury, do Paryża, widzimy skutki tej nieszczonej choroby na całej rodzinie. W romansach Emila Zoli. W *L'Assomoir* zabija „dolorium tremens“ bohatera powieści. Opis pijanstwa wierzy,

choć trochę za długi i jednostajny, kończy się dobrze zaobserwowaniem przebiegu ze studium szaleństwa do napadów omdlenia, poprzedzających zazwyczaj katastrofę. Czuć tu formalnie kwas szpitalny, który Zola dotąd otęcza z nóg swoich. W *Nanie* dochodzi do ostatecznych granic obserwacji opilstwa, odtwarzając nam nawet trupa w najdrobniejszych i najwstrętniejszych rysach, tak, że każda protokół obdukcji nie może być dokładniejszy, a stan szaleńczego i opuszczonego położenia, rodzącego dziecię na poddaszu (z powieści *Fort-Bouille*), odmawiany z taką dokładnością, jakby autor miał doniesienia od akuserek.

W ogólności posiada Zola szostyczny zmysł na wszystko, co przekracza normalne granice fizycznego i psychologicznego stanu, maluje więc z niezwykłą znajomością różnego rodzaju choroby, ale nadaremnie szuka u niego lekarz szwedzki przyczyn, a co dopiero lekarstwa na ta słabość.

W literaturze szwedzkiej podejmuje takie tematy pani Edgren. Jej pijacka należy do lepszego towarzystwa, co tłumaczy autorka dziedziczeniem (ojciec jej był pijakiem najgorszego kalibru), oraz wpływem męża lekarza, także braternalnego opoia, który pozabawia żonę uczucia wiary, zaszczepiając w niej pierwiastki najgrubszego materializmu. Charakter tego pijaka sprzeciwia się o tyle prawdomodobniwstwu, że mimo natłoku, cieszy się na szerokość sław lekarską i klientelą. W *Wielkim mecie* bierze pani Edgren pod uwagę najmłodszą słabość: morfizm. Dyrektor akademii szwedzkiej, wielki mąż stanu, ale zrzuwający materjalność i moralnie, chwytwa się ostatniego środka — morfiny. Typ dobrze oddany, lecz autorka nie umie się utrzymać na poziomie naukowym w tym, bądź co bądź nowym, temacie. I tak np. dostaje wielki człowiek, podczas mowy rektorskiej, ataku głodu morfinowego, zawożąc go więc do domu, gdzie po zapuszczeniu morfiny wraca do dawnego stanu. Widozenie nie były studia autorki głębokie, kiedy mogła przeoczyć umysłowy stan morfistów, który w rozwinięciu studium choroby nie zdola zdobyć się nawet na tak lichą produkcję umysłową, jaką bywa za zwyczaj mowa rektorska, w początkach zaś słabości nie omdlealkaby naopatrzyć się w potrzebną ilość trucizny. Idealny ten morfista umiera, taknany paraliżem. Wypadek dotychczas nieznan w medycynie, umierającemu zaś wkłada autorka, dla efektu, flaszeczkę z morfiną, którą on kurczowo trzyma w ręku. Tymczasem dotknęci paraliżem opuszczają wszystko z ręki, i jeszcze przez długi czas po wyzdrowieniu nie mogą w niej nieżność utrzymać.

W przeciwny wprost błąd popadają powieściopisarze ze szkoły Zoli, używając i nadużywając motywu dziedziczności. Za czynu człowieka są wynikiem natury i temperamentu rodziców, wykazał już Darwin, ale zaznaczył także prawa zmiany, złagodzenia, a nawet zanikania odziedziczonych właściwości; tymczasem w powieściach naturalistycznych w rodzaju *Rodina Rougon Maquart* wchodzi każda osoba w ślady zbrodni i występku ojca, chociażby wykastatonic, wpływy otoczenia i społeczne jej stanowisko, są zgola odmiennie. Niektórzy kładą na karb dziedziczności słabości, wpływająco zupełnie z innych przyczyn, tam zaś, gdzie one występują, zabijają swoją ofiarę w dziesięć minut, albo znikają na zawsze, ale nie pojawiają się nigdy w stanie chronicznym.

Żyjemy w wieku uncymym, a kierunek ten odbija się na powieściach, w których aż do znużenia słyszysz „nerwowy śmiech“, „nerwowy płacz“, patrzysz ciągle na „nerwowe ruchy“ itp. Wszystkie charaktery są w wysokim stopniu nerwowe; zdarza się nawet, że brak rozsądku i wychowania, ukrywa się pod tym wygolonym pla-

szczykiem. W powieści Daudeta *L'Évangéliste* występuje protestancki fanatyzm wyrażony jako słabość nerwowa. Żona bankiera, prezydenta licznych instytucji miyonarskich i towarzyszy dla kobiet, truje belladoną dziewczętą wiejskie, korzystając z celach fanatyzmu z ekstazy, która ta trucizna wywołuje. O tego rodzaju skutkach otrucia nie chce wiedzieć lekarz szwedzi.

Na innym miejscu opisuje szczegółowo Daudet słabość naskórną całej rodziny wyznania protestanckiego. Jest to szram mały, niebieskawy znaczek na twarzy, który można przez operację usunąć, ale wycięty wrzód zjawia się na nowo; czasem występuje jako wysypka na całym ciele, znika na pewien czas, wiosną jednak albo jesienią wraca napowrót. Otóż nauka medycyny, jak wykazuje prof. Ribbing, nie zna zupełnie podobnej przypadłości.

Powieściopisarz szwedzi Björnsterne Björnson przedstawia w powieści pod tyt.: *Nad siły kobiecy*, która w pozycju małżeńskim z egzaltowanym kaznodziejstwem stała się historyczką. Pomimo bowiem wielbieńia męża walczy z nim ciętawie w sprawie wychowania dzieci, gospodarstwa i t. p., a walka ta nadwyręga jej system nerwowy do tego stopnia, że słabość zwała ją z nóg. Po chwilowym wyzdrowieniu wychodzi naprzeciw męża, wracającego z kościoła, gdzie modlił się o jej zdrowie, i pada nieżywa w uko ramiona. Dotąd wszystko prawdziwe. U tak osłabionych, jak żona kaznodziei, istot następuje często katastrofa; nie anglo, ale fizycznie niemożliwą jest śmierć zdrowego, jak ryba, kaznodziei, który chyba dla melodramatycznego efektu „wyzwał ducha” przy swej ukochności. A nie jest to powieść romantyczna. Autor powołuje się w niej na dwa poważne dzieła medyczne najcięższego nerwopatologa Charcota, któremu Daudet pościwił swą powieść. Lecz dzieł tych autor nie mógł zrozumieć, jak dowodzi Ribbing, gdyż należał do najtrudniejszych w nauce medycyny i wymagają głębszych studiów specjalnych.

W ogólności malują realności współczesni choroby zbyt szczegółowo, na podstawie mniej lub więcej dokładnej znajomości patologii, łącząc je zazwyczaj z upiśkami moralnymi. Wszakże utrzymują się tutaj, jak w wielu innych rzeczach, na polowie drogi, przynajmniej nie wyciągają wniosków ostatecznych. Kobyt wątpi o tem, niech porówna sprawozdania lekarskie, albo nawet protokoły policyj z najskrajniejszą naturalistyczną nowelą, a spostrzeże od razu w oczy bijące różnice. Chodzi więc o przekroczenie konwencyonalnej granicy, nieistniejącej, jak widać z rozprawy Ribbinga, w dnuśkich iszwedzkich powieściach młodych medyków. Różnica między wykonawcami sztuki lekarskiej a przedstawicielami poezji współczesnej polega na tem, że lekarze odróżniają patologię od terapii i higieny, na której spozyswa wa dźięć ułję ciężar medycyny, fantazyja zaś powieściopisarzy przebywa najchętniej w szpitalach; zapominają oni wszakże o głównem zadaniu nauki zdrowia, o wpuszczeniu *świełego powietrza* do szpitali i mieszmatań zaniezczyszczanej atmosfery.

Z.

Z FRANCYI.

Parż, 20 maja.

(Stowarzyszenie studentów paryskich i przeniewlecie Renana).

„Ogólne stowarzyszenie studenckie fakultetów i szkół wyższych Paryża” istnieje od lat dwa dopiero. Swrobdna stowarzy-

szania się jest wciąż we Francyi nader ograniczoną — do dziś obowiązującą przestrzała ustawa z r. 1867, która nie może do czekać się radykalnej rewizyi—to też długo studenci paryżcy nie posiadali żadnego koleżeńkiego związku. Sami nie nawykli byli do tego, a i władza z nieufnością patrzała na wszelkie w tym kierunku próby. Przemagaly jeszcze tradycyjne obawy biurokratyczne, z czasów cesarstwa, kiedy bujnie krzewiły się idee republikanckie. Czas się jednak zmienił i obawy wszelkie są już obecnie płonne. Dajejsze uniwersyteckie młodzieże francuska, rekrutująca się prawie wyłącznie spośród klas samodziśszych, nie czuje bynajmniej skłonności do radykalizmu społecznego lub politycznego. Chętniej sięm już posłuchem cieszę się idee reakcyjne, tonem jednak przeważającym jest zupełna obojętność względem wszystkiego, co nie dotyka wprost obranej specjalności, kariery, lub wesolego używania. Mimo to, gdy zawiązywało się rzeczono stowarzyszenie, umiarkowane dzienniki republikanckie nie omieszczały wyrażenia swego niepokoju o przyszłość. Dziś z zadowoleniem wyznają, że myśli się. Gdy jednak układano ustawę związkową, nie zapomniano wstawić w nią paragrafu, którym wszelkie rozprawy religijne lub polityczne wykluczone zostały z obrad — szerególna istotnie metoda zobojętniania młodzieży dla spraw najwyżej obchodzących każdego wykształconego człowieka.

Po dwu latach istnienia stowarzysztwo liczy około 500 członków, co na kilkanaście tysięcy studentów szkół wyższych Paryża jest cyfrą nader skromną. Cudosiomcy mogą należeć do związku, nie mogą wszakże być wybierani do wydziału; studenci przyjmowane są również — dotąd jednak zapisali się tylko dwieście jedna polka, druga rosyjanka. Honorarium przeześm jest prof. Chevreuil, stuletni „dzikian studentów francuskich.” Rzeczywistym prezydentem zaś dyrektor „Collège de France,” znany Ernest Renan. Dość należy, że stowarzyszenie posiada własny lokal, czytelnię, bibliotekę i stara się o różne ułatwienia dla swych członków przy pracy szkolnej.

Przed kilkunastu dniami święciło ono dwuletni swój jubileusz uroczu, na której Renan wypowiedział przydłuższą mowę. Poczynamy bardziej charakterystyczne jej ustępy.

... Wasza młodzież — mówił przes — rozgrywa mnie i ożywia. Kiedy onka zamysł się z jednej strony, milko widzieć je otwierające się z drugiej! Mam zwyczaj powtarzać: szczęśliwi młodzi, ponieważ życie mają przed sobą! Z dwu części program życia szkolnego: pracować wiele i bawić się wiele, znalem, prawdę rzekłszy, tylko pierwszą. Czas, w którym inni się bawia, był dla mnie czasem goręcej pracy wewnętrznej. Byłem może w błędzie; według stąd, że to stare lata, zamiast być, według zwyczajów, twarzym konserwatystą i moralistą surowym, nie mogłem się obronić pewnej wyrozumiałości, którą purytanie nazwali moralnem rozluźnieniem. Zrobiłbym może lepiej, wesołać się, gdy byłem młody i śpiewając do woli *Gaudium igitur* żaków średnio-wiecznych.

Nie ulega zresztą wątpliwości, że jedna połowa działalności waszego wiekn nie wyłącza drugiej. Wesołość i praca są to dwie rzeczy zdrowe, które się nawzajem przywołują. Tak też, pracując, pracując nieprzerwanie i, mimo to, bawcie się; nie możecie się nigdy! Wszelkie natężenie zbyt; teozno i nadmierny wysiłek wyzeropuje. Niech myśl sama ku wam podbiega w naturalnej swej szczie, w alowie; nie przywołuje jej i nie wyiskazuje. Oto kilka wskazówek w tym względzie. Wypoczywajcie po jednej pracy drugiej; niech przedmioty waszych studiów będzie zrozumia-

ny. Przegródki mózgu zajęte powną pracą pozostawiają wiele miejsc próżnych, które mogą być zapełnione korzystnie inną. Istnieje piękne wyrażenie pewnego starego rabina z pierwszego wieku. Wyznaczo mu, że przepełnił naczynie Prawa, kładąc w nie zbyt wiele przepisów: „Do beczki pełnej orzechów — odpari — zawsze wał można wiele miaz oliwy.” Juk to dobrze powiedziane! Tak jest, można zdobyć jednocześnie wiele różnych rzeczy pod warunkiem umieszczenia ich w opróżnionych przedziałach. Czas poświęcony pracy nie jest ten tylko, który spędzamy nad książką lub z piórem w ręku. Trzeba umieć zawsze pracować, lub raczej, tak się należy urządzać, ażeby obwile pracy i zabawy nie różniły się między sobą. Gdy rozmawiacie, jeżeli pogawędka nie rozmawiania was zbylecznie, śledźcie za waszymi myślami. Podobnie podczas przebadzek, przy stole, w czasie wszystkich czynności waszego życia.

Nie kładźcie granic waszej ciekawości; starajcie się wszystko poznać; granice znajdują się same. Tego właśnie, wam za zrozdżę. W ludzkości ostatni goście są najbardziej uprzywilejowanymi. O ilu rzeczach wiedzieć będziecie, o których my nie dowiemy się nigdy! Ile zagadnień, za których rozwiązanie zapłaciłbym latami mego życia, będzie dla nas zrozumiałymi i dostępnymi! Społeczeństwa nowoczesne wydały przełom, w który są uwikłane? Czy sprawy społeczne są drogą bez wyjścia, jak poronione próby XIV i XV wieku, czy też znajdują one praktyczne rozwiązania? Jakim będzie świat w 1920 lub 1930 roku? A w kierunku czysto naukowym: do jakich dotrzemy pojęć o rasie, zarodku, gatunku, jednostce, życiu, świadomości? Iluż doczekacie się ciekawych odkryć w dziedzinie historii, jeżeli prace dajieszcie się będą dalszą koleją. Za lat pięćdziesiąt literatura babilońska liczyć będzie dziesiątki tomów... Dziś mamy dwa tylko dawne napisy hebrajskie, które świecą nam jak morskie latarnie w tym starożytnym pomroku. Za waszych czasów znać ich już może będą dziesiątki... Jakże wam zazdroścę, jako pragnąłbym zmartwychwstać za lat pięćdziesiąt.

Bądźcie zawsze — ciągnął dalej mówca — uczciwymi ludźmi. Bez tego nie podobna skutecznie oddawać się pracy. Zjadaj mi się, że nie podobna ani dobrze pracować, ani wesoło! się obozno, nie będąc człowiekiem uczciwym. Pogodny umysł jest oznaką młodości życia... W życiu tem są sprawy delikatne, o których przyjęto nie mówić. Odbarczanie mnie jednak tylu dowodami zaufania, że powiorn wam wszystko, co myślę. Nie profanujcie nigdy miłości; jest to rzecz najbardziej święta na świecie; życie ludzkości, ta najwzszcza, jaka jest, rzeczywistość, od niej zależy. Uważajcie za podłość zdradzać kobietę, która otworzyła przed wami na chwilę raj ideału, uważajcie za największą zbrodnię wystawianie się w przyszłości na wyrzuty isoty, której dajieszcie życie i która, z waszej może winy, byłaby oddana złemu. Jesteście uczciwymi ludźmi, uważajcie więc lekomyślnie zachowywanie się w tym wypadku za czyn niegodny. Mam to przekonać, że moralna i prawna reguła małżeństwa będzie zmieniona. Stare prawo rzymskie i chrześcijańskie wyda się pewnego dnia zbyt wyłączone, zbyt ciasne. Jest atoli prawda, która pozostanie niezmienna, ta mianowicie, że ze stosunków między płciami wynikają zobowiązania święte i że pierwszym z ludzkich obowiązków jest wzbronie sobie w czynie, brzemionom najpoważniejszymi następstwami dla przyszłości świata, karygodnego oszołomienia.

Jako komentarz do tego „świeckiego kazania” — tak sam Renan nawał swe przemówienie — wypadłoby rozpisad się obszerniej o życiu studenckiem w dziedzi-

cy łacińskiej Paryża, gdzie pędzi młodzież tyle Beranger'owskich i Murger'owskich Mimi lub Lizetek, zmienionych, oczywiście, po upływie lat. O życiu studentów paryskich, o ich stosunkach z kobietami — pisało wiele wierszem i prozą, wieść o tom rozchodzi się szeroko, muszą więc kiedyś, przy sposobności, przedmiot ten potrącić — dziś jednak brak mi na to miejsca.

W drugiej połowie swego przemówienia prawił Rouan o ojczyźnie, Francji, rządy, rządy; uwagi te jednak pełno są balamitnymi wyobrażeniami, obok trafnych niekiedy spostrzeżeń. Mówca cześć ojczyźnie, o sprawach jednak politycznych odzywa się z obojętnością zupełną i eklektyzmem. Sam zresztą powiedział, że „w polityce nie liczę bardzo na moje rady,“ liczyć się więc z niemi nie będziemy.

P.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Konkurs na dowcip. — Trzej laureaci. — Dowcip *Ostpr. Zeitung*. — Dwa okrzyki i lament „bądź“ — Pierwsze łowy. — Prawa stanowiące w gniewie. — Improwizacyjny traktat. — Dzieciactwa. — Tradycyjna lekkomyślność. — Oudowne loki na wieścielnice. — Kiedy używane są skutecznie.

Jedno z pism monarchijskich wyznaczyło konkurs na „dowcipy“. Przyszedło o ogonie martwego ciocięcia do dowcipów niemieckich często zastosować można, tym razem jednak zdawało się, że to turniej stana rykoszetu humoru. Tymczasem stanęli cyrkowi śmieśkowicze. Pierwszy dobiegł do mety i otrzymał 150 marek następującym konceptem:

„Na głosze Brochen. A. Czy uważasz za możliwe to, że ci nie niedawno opowiadał przyjaciel N., że przy czystej pogodzie widział stąd Frankfur nad Odrą? — B. Niepodobniestwo, bo jakże on z takiej odległości mógł rozstróżnić, czy to jest Frankfur nad Odrą, czy nad Menem?“

Drugi (100 m.): „Wpadł. Ktoś potyka się na ulicy i przez szybę okna wystawowego wpada do kantoru bankierskiego. Bankier: Bogo sprawdził! W ten sposób żaden jeszcze u mnie nie wpadł.“

Trzeci (100 m.): „Uwieziony trud. Pewna dama, która przez całe życie, lekając się złodziejów i morderców, świeciła pod łóżkiem, odkrywa raz obłopna rzemieślniczego, który się zakradł i woła: Ach, przecie, nakoniec jestes!“

Wszystkie te koncepty, razem wzięte, niewarto są szelaga i przypominają ogon ciocięcia żywego, ale nie należy sądzić, że na niewie humoru w Niemczech lepsze kwiatki nie rosną. Pomijając *Fliegende Blätter*, piękną krytykę wesołości, w ostatnich czasach otworzył się nowy jej zdroj w rozporządzeniach pruskich przeciwko polakom. Wiadomo, że pisma nasze odstraszają złomków od wód niemieckich groźbą wygnania i brutalnych dokuczań. Różne „bady“, które z gęsi polskich skubały co rok dużo pierze, podniosły krzyk przeciwko tym postachom i w ogłoszeniach orzec listach, pisanych „nadwislanskiem narzęciem“, zaklepy się na wszystkich bogów, że to jest nieprawda, że goście mogą liczyć na najżyźwiejsze przyjęcie. W chwili tych przysięg *Ostpreussische Zeitung*, organ naczelnego prezesa Prus Wschodnich, zamieszcza następujące ostrzeżenie: „Polacy, przybywający do wód niemieckich, nie powinni liczyć na ulgi w przepisach, dotyczących wydalania. Rząd z każdym postępować będzie tak, jak to uzna za konieczne w interesie państwa, bez względu, czy go-

ście polacy byłiby w Landecku, czy gdzieinziej.“ Z pewnością zarząd kuracyjnego zakładu w Landecku, który najmniejszemu bił się w pierś i najszerzej otwierał ku nam ramiona, przeczytawszy to ogłoszenie, zwołał: „A bodajże ci, moja Zeitung, język, jak wior, uszech.“ O do nas, racy tylko możemy: „Niechaj ci, luba Zeitung, język, jak mrowkojadowi, wyrósne.“ Bo jeżeli na kogos nie podział obowiązek (spręży na dzieńwa stała) unikania *bado*, to może podziela ten... dowcip. Rzeczywiście, jest to pyszny dowcip, daleko lepszy od nagrodzonych na wzmiankowanym konkursie. Owa dama, która ze świecą szukała długo pod swem łóżkiem złodzieja i narazicie znalazła go, czy mogła pociąć taką radość, jaką my czujemy, mając szlachetniejsze prawo do zawołania: „Ach, da sind sie endlich — ach, przecie nakoniec jeste.“ Daresmnie bowiem świeciłmy, zakazu wyraźnego względem polaków, przybyłych na kurację, nie znaleźliśmy w gazetach niemieckich. Przecież nakoniec jest. Biedny Landeck, biedny „Zoppot“ (nazwa, zamiast Soboty, w Warszawie przestrzegana dla zryku!) Jakże one płakać muszą nad „interesem państwa“ i nad tym „dowcipem“ — niemiagrodzonym, chociaż wprawdzie charakteryzującym ruchy ogona martwych cioci!

Wielka, ze 100 milionów pętlę udzielana sieć, która ma w Poznaniu wyłowić majątki polskie, zagarnęła już dobra Komorowo, szlacheckie gniazdo, Szkoła i tei zdobyły, ale stosunkowo do rozmachu i przygotowań jest ona niewielką. Olbrzymia maszyna germanizacyjna, której kół i pasy wciąż jeszcze wyrabiają się w sejmie pruskim, nie ośmiła dotąd swych twórców i konstruktorów nadzwyczajną skutecznością. Która z pólów niemieckich zaawaty słusznie, że rząd pruski tworzy prawa w gniewie. Z gniewu powzięły się ustawy germanizacyjne, nie wigo dajniwego, że jeszcze nie dotknęły mocniej stopami raczonności, lecz przelatują na tońską, jak złowrogie widma. Stara lira tenońska nie gra wesołej, ale w takt jej muzyki tańczą rozszochrane, blade, z krwawymi oczami upiory, wyspięwujące zagładę nieszczęsnej i niewinnej gromadzie, którą wszyscy opuścili. Daresmnie „ojciec“ „opumina krasnabrne owce prasy polskiej, które potaliły się głośno, że i on nawet je odstąpił. Oprócz małego stadka, wiecznie skaczącego przez kij, chociaż kija nie ma, reszta owczarni jawnie lub skrycie obwinia swego pasterska, który swym najwiewniejszemu synom dowiódł, że taki on „ojciec“, jak i „święty.“

Pozostawiam samym sobie w położeniu zająca sroń serdecznych przyjaciół, polacy pruscy, może dziś bardziej, niż kiedykolwiek, na własne tylko liczą się. O ile szanujemy wszelkie poważne w tym kierunku natężenie sił, o tyle do praktycznego śmiechu pobudzają nas dziecinne junkiejskie i suchowate mowy. Wobec tej góry, która pochyliła się nad nami i grozi zniaczeniem, boleśnie rozśmieszające wrażenie sprawiają zabawki w odwet z olowianymi żołnierzykami, jakie tu i owdzie występują uroczysto. Oto up, w chwili, gdy nad Poznaniem ciągnęła się czarna chmura, p. Rogoziński, wódz „pierwszej polskiej wyprawy do Afryki“, ogłasza w *Czasie* swój „traktat preliminarjny z królem i kacykiem Boty“, wymierzony przeciwko niemu. Trzeba czytać dobrze przezrzed, ażeby uwierzyć, że one istnienie czytają te słowa: „Joj królewska Mość, królowa zjednoczonego królestwa Wielko-Brytanii i Irlandji, cesarzowa Indji etc. etc. i p. S. Rogoziński, oraz król i kacyk Boty ozyli Bobi, pragnąc podtrzymać i wzmocnić pokojowe i przyjaźnielce relacje, które tak długo istniały pomiędzy nami.“ Hej, kogo to dumę nie przejmują! Z jednej strony król Boty, a z drugiej królowa angielska i p. S. Rogoziński! Do stu tysięcy — przy takich

świeciwych „relacjach“, co nam może srobie Bismark!

O, gdyby to był tylko sen!..

Jest to zastanawiające, jak uparcie naszego charakteru trzyma się dziecinna, poważna sprawa zasłaniająca, próżność. W największej niedoli, w chwilach najstraszniejszych niemyśmy się zdobywaliśmy na mimowolny humor, na takie wyskoki, do których, zdaje się, życie nie dostarcza nam ani odrobiny materyału. Pod koniec XVIII wieku, w epoce pogromu, damy polskie zataczowały się w obłądnie przepychu ubierały sobie pierścienkami palce u nóg. Nie był to szal przelotny, bo ślady jego, chociaż złagodzone, odnajdujemy w sobie dotąd. Nie ma tak wielkiej klęski, która na długo okryła nas żałobą, nie ma tak silnego gromu, przeciwko któremu nie zasłaniałibyśmy się tarozami z kolorowej bi-bulki.

Podczas gdy Pasteur wynalazł szczepienia, chroniące od wścieklizny, cały świat podziwiał jego odkrycia, a pokąsani z najodleglejszych stron przybywający do niego po ratunek i wracając udziwieni, my, zapisawszy i odcytawszy to wszystko, najpoważniej zajmujemy się głoszeniem w gazetach sławy roślin, które mają stanowco usuwać owa straszna choroba. Niejaki p. Piotr Michalczewski, powołałszy się na swą starość, która blagi nie dopuszcza, upewnia w dziennikach, że *trudnośc paspality i grzybiel* są niemożliwymi srodkami przeciw wściekliznie. Rozumie się, natchmiał przylpnył wieści do o księstwa, to o kowatu, to o pasieczniku, to o gospodarzu, o różnych znachorach, którzy znali takie cudowne zioła, ale „wzieli do grubu tajemnicę.“ Nikt nie świadczy są nimi z własnego doświadczenia, ale kudy sły-szał od osób wiarygodnych. Dziwna jest logika ogółu: gdy Pasteur wychodzi zwycięsko prawie ze wszystkich wypadków, radzą przyjmować jego rezultaty „ostrożnie“, ale gdy ktoś wykończy z jakimkolwiek bądylem, gasoty bez zastrzeżeń potwarzają to nowinę a masy jej wierzą. Co tam *trudnośc z grzybiel*niem sprawia — mniejsza, i nie myślę ich odierać „cudowności“, pragnąłbyśmy tylko, ażeby każdy pokąsany, naprzód pojechał do Pasteura, a dopiero potem napił się odwaru z tych zioł. Wtedy i wilk będzie syty i owca cała — i pokątni doradcy medycyny zadowoleni i chorzy zdrowi.

Paweł Brandy.

NA WIDNOKRĘGU.

Wielkie psy i tacy sami słemcy. — Nagły wybuch patryjotyzmu polskiego w Edoli. — Zasepacie objawy. — Arystokratyczny Lublin. — O czem mówią kurvery. — Drobną sprawą. — Kolonie żydowskie.

Nie wiem, czy o powodzi upomniał, czy też wskutek rozgłosu wywołanego kuracyami Pasteura, pisma przepełnione są wiadomościami o psach wściekłych i pokąsanych przez nie ludziach. Dotychczas o farności publiczna z trudnością zdobywa się u nas na wyślanie do Paryża ofiar nieszczęśliwych wypadków, nie chciałbyśmy więc słabego prądu jej tamować, owszem radymy zachęcać wszystkich do składania datków na ten cel, ale musimy zrobić tu jedną uwagę, która, sądzę, wobec powyższego oświadczenia fałszywie zrozumianą nie będzie. Słyszeliśmy już o oszustach, udających pokąsanych, ażeby zebrać pieniądze na wyjazd do Paryża — nie o nich mi jednak chodzi, ale o tych, którzy każdego psa złośliwego skłonni są uważać za wściekłego i każde pokąsanie pragną leczyć metodą pasteurowską. Otóż we wszystkich wątpliwych wypadkach należy tro-

skliwie zbadać, czy pies, który ukąsił był rzeczywiście wściekły. Poruszam sprawę tę dlatego, że gazety rosyjskie zaznaczają fakt, że pies, który pokąsał i uznany został za wściekłego, nie był wcale wściekłym, jak się później okazało; na szczególne zaś ostrzeżenie jadących już do Paryża pącnących. Skonstatowanie wściekłości, zwłaszcza w pierwszych dniach choroby, nie jest zbyt łatwym i weterynarz nie raz omylił się może, szczególnie jeśli zwierzę zabite zostało natychmiast i nie podlegało dłuższej obserwacji.

Bodajby Francya wydała kiedyś nowego Pasteura, któryby zaczął losować „wściekłości” niemców, dotychczasowo bowiem sposoby kuracji nie mogą osłabić szkodliwej zarazki germanickiej pychy. W Łodzi, jak pisze miejscowy *„Dziennik”*, kilku rycerskich tenentów bawiło się w łasku miejskim zaczepianiem spokojnie przechadzających się osób. Jakś robotnik, który nie odziedziczył po nieznanych przodkach właściwość tylko klasom wyższym głogłości dla tysiącletniej kultury europejskiej, czynnie zaprotestował przeciw niemickiemu zachwaleństwu. Ale nieogłędny przedstawiciel niższej rasy został należycie ukarany, jeden bowiem z awanturników uderzył go szpiercutem w oko i oślepił. *„Dziennik”* nie objaśnia, co się stało z wojowniczym napastnikiem i jaka ich czeka kara za wybicie „polskiego oka.” Kto wie nawet, czy jakakolwiek kara ich spotka.

A może ryccerz ci okażą się rodowitymi polakami, bo dzisiaj właśnie odbywają się w Łodzi takie demotamorfozy. Przemysłowcy tamtejsi wystosowali na imię gubernatora Piotrkowskiego odpowiedź na zarzuty p. Szarapowa i domagania się fabrykantów moskiewskich zaprowadzenia granicy celnej. Nie poruszam w zasadzie tej sprawy, o której *„Prawda”* wypowiedziała już swoje zdanie, pragnę tylko zapoznać czytelników z nową galeryą przemysłu łódzkiego — z fabrykami polaków. Obie strony używają w sporze argumentów, obliczonych na łatwowierność ludzką. Kiedy przemysłowcy moskiewscy wskazują, jako na objaw podobu rynków rosyjskich — na sprawozdanie „setek tysięcy pudów polskiego żelaza,” co właściciele mówiące jest bagatelą, (bo taka np. jest waga jednego mostu kolejowego), współwładnicy ich z Łodzi starają się dowiedzieć, że przemysł tamten jest miejscowym i z tryumfem podają cyfry robotników obcych poddanych, które stanowią rzeczywiście nieznaczny procent. Inni zaś niemcy, ani słowa nie umiejący po polsku lub rosyjsko, figurują jako zwioli miejscowy. Niechaj sobie siedzą, było spokojnie i skromnie, nie przeciwko temu nie mamy, ale po co pasować ich na krajowców i dawać przeciwnikom możność łatwego tryumfu wykazaniem kłamliwości tej przeróbki?

Względnie patryotyczny polski budi się w Łodzi. Nawet zajął *„Loder Zeitung”* z przyjemnością donosi, że przemysł krajowy rozwija się i doskonały we wszystkich kierunkach. Whnienieraz dwaj „ziomkowie” nasi p. Göppert i Gretcher założyli fabrykę kapeluszy, „które dotąd nie były wyrabiane w kraju.” Tak przynajmniej zapewnia *„Loder Zeitung”* i zachęca polaków do popierania swajskiego przemysłu. Tymczasem *„Dziennik Łódzki”* dowodzi, że w samej Warszawie istnieją trzy większe fabryki kapeluszy z tych jedna od 1865 r. No, jak tam jest, to jest, ale zawsze troskliwie *„Loder Zeitung”* o rozwój rodzimego, polskiego przemysłu zasługuje na uznanie.

Są inne jeszcze dowody, świadczące, że Łódź polonizuje się nie na żarty. W mieście tym powstaje tataral a w roku przyszłym urządzone być mają wyścigi; nowa „szlachta perkalikowa” wstępuje więc w ślady starcy szlachty rolniej.

Mieszkańcy Fabianic znowu, chociaż nie pochodzą z rasy „pląsających niewolników,” przejęli jej obyczaje i ochętnie tańczą nawet w maju, byle tylko był pretekst. O ten ostatni przydrobinie dobrych chęci nie trudno: niejaki p. Lauber zarządził próbę z proszkiem do gaszenia ognia, z tego powodu wyprowadził świetną uroczystość tańczącą.

Pojmuje zresztą wesoły nastrój mieszkańców Fabianic, jeżeli rzeczywiście proszek gaszący okazał się skutecznym. Niekolko bowiem pełną miasteczką i wsi, mieszkańcy „z dziwnym spokojem,” co prawda zrozumiałym przy braku wszelkich narzędzi ratunkowych, przypatrują się pożarowi; straż ochotniczo nie istnieje, inna zaś straż odpowiada, jak np. w Klimontowie, że ogień do niej nie należy. W takim stanie rzeczy można uwierzyć w skuteczność proszku i nawet zatańczyć z radości, że znalazł się dowcipny niemiec, który proszek ów wyrabia.

Łublia coraz bardziej przoiastacza się na wielkie miasto. Ma on nietylko własny teatr, ale nawet i proces a dzierżawę sceny, ma sprytnych izraelitów, którzy handlują młodemi dziewczętami i wywożą je do Turcyi, wreszcie gazetę miejscową, która usilnie stara się o zaszczepienie cywilizacji w mieście i okolicy. Nie wszystkie jednak wnioski jej zasługują na uwzględnienie...

Dla ludzi dobrze urodzonych istnieją a nas tyżasne przywileje — nawet w prasie. *„Kuryery”*, które chętnie drukują sprawozdania z procesów skandalicznych, które włożą po szpaltach swych nieraz nazwiska ludzi niewinnych a raczej winnych tego, że nie urodzili się w stanie... łaski społecznej, milczą teraz o strasznej zbrodni, o której niedawno wydał wyrok sąd okręgowy suwalski. Młody obywatel ziemski Floryanowicz zakochał się przed kilkana laty w prostej dziewczynie wiejskiej. Dziewczyna była cnotliwą i wszelkie zabiegi uroczeliciela okazały się bezskutecznymi. Wtedy Floryanowicz wyrabiał sobie indult, chciałem bierzcie ślub, ale żonie swej i jej rodzinie każe utrzymywać fakt ten w tajemnicy, niby to z obawy przed swymi krewnymi. Po kilkoletnim pościgu, którego rezultatem było troje dzieci, paniczka spryskryzła się żoną, zresztą zachwiane interesy majątkowe wymagały spieszniejszego ratunku przez ożenienie z posażną panną. Floryanowicz wyprawił więc żonę z dziećmi do jej krewnych, z początku odwiedza ją niekiedy, później zabieduje zupełnie. Przez ten czas wyznajdaje odpowiednią pannę z posagiem i przygotowuje się do zawarcia z nią małżeństwa. Trzeba jednak usunąć pierwszą żonę. W tym celu umawia się ze swym przyjacielem, również b. obywatелеm ziemskim Zakrzewskim i ten ostatni podstępnie namowiwszy biedną kobietę do wyjazdu, niby to na wzwanie męża, zabija ją wystrzałem z rewolweru. Sprawy mordera przedko zostali wykryci i pomimo wypierania się, przekonani o zbrodni, sąd skazał ich obu na zesłanie do ciężkich robot. O tej potwornej zbrodni pisma milczą, natomiast piętnują „niekierunkowo” (wyrażnie niekierunkowo), „którzy nie wahali się wyciąć na opał” drzew formujących „piękną aleję,” chociaż drzewa te nie stanowiły wcale prywatnej własności. Rozumie się, że „niekierunkowo” ci, to ludzie „podłej kondycji” — chłopcy z okolic Warszawy. Zabójstwo biednej wieśniaczki nie wywoła takiego szlachetnego oburzenia, nie zwróci nawet uwagi moralistów, chociaż zasługują na nią bodaj z tego względu, że dotychczas ofiary gorącej krwi pannieczek mieściły się na swych uroczyskach w ten sposób, że pozabawiali siebie życia, teraz zaś nie chcą uważać się dobrobowlonie i zmuszają szlachetnie urodzo-

nych młodzieńców do popełniania zbrodni. Doprawdy, niewiadomo do jakich granic dojdzie wkrótce zachwaleństwo obłopskie, niedługo może „dziewczyna,” którą „panicz” spotkał w „zielonym gaju,” „poczułował w usta i czuło rączęk ścisnął,” zechce sama mieć się za następstwą tego sielankowego spotkania.

Gazeta *„radomska”*, która po krótkim paroksyzmie poetyczno-zachowawczej gorączki, otrzeźwiła się i wyrabia się na bardzo pozytywne pismo, porusza sprawę drobną z pozoru, ale ważną bardzo w interesie ludu. Organ *„radomski”* twierdzi, że rejeanci prowincjonalni często bardzo powierają bezkontroli pisanie aktów swoim pomocnikom, ci zaś ostatni dopuszczają się najrozmaitszych nadużyć. Gazeta przystąpiła kilka przykładów, jeden z nich, kiedy gluchemu włośnianinowi dano do podpisania akt zupełnie innej treści, aniżeli on zadedykował, jest poprostu oszustwem, które surowo winno być skarcone. Niejednokrotnie już i nietylko w guberni *„radomskiej”* zauważono takie lekkowazenie przez rejeantów swych obowiązków w sprawach, w których interesantami są włościanie, za nadużycia takie pociągano nawet winnych do odpowiedzialności i karano surowo, może więc chociażby względem tam, gdzie poczucie obowiązku widocznie odzyskuje się zbyt słabo.

Z powodu kolonizacji żydowskiej w Galicyi podniesiony został projekt urządzić tego rodzaju osadnictwa u nas, zwłaszcza zaś w kraju zachodnim. Nie mamy nie przeciw osadnieniu żydów na roli (niektórym, co prawda, ochotczonym semitom uprawa roli daje podobno nie zły dochód) ale wytworzenie kolonizacyi za pomocą specyalnych stowarzyszeń uważamy za szkodliwe, dopóki miejscowa ludność wiejska nie posiada również zorganizowanej pomocy dla nabywania ziemi. Zresztą sposób w jaki „zwiazek izraelski” tworzy osady rolne w Galicyi, nie ma na celu zaszczepienia żydów do zajęcia się gospodarstwem, ale poprostu ułatwienie im osiadania na wsi. Udziałając wsparć i zapomóg łatwo można zwerbować w póród proletaryatu żydowskiego tysiące rolników, ale ludzie ci ani zamilowania do gospodarstwa odrazu nie nabędą, ani też poprzednich zajęć nie zrękną się wcale. Znamy takie kolonie, istniejące już od lat kilkudziesięciu, których mieszkańcy włożą się po okolicy jako krawcy, handlarze, dzierżawcy sądów i synków, ziemię zaś oddają w dzierżawę okolicznym włośnianom. W młotych miasteczkach nie brak chyba ubogiej ludności żydowskiej, nigdy jednak nie najmuje się ona do robot w okolicznych majątkach. Raz jeden tylko widziałem, zdaje się, w Starej Wai pod Warszawą kilkunastu izraelitów, kopiących kartofle. Objasnio- no mnie, że zarządzający tym majątkiem po długich namowach zaledwie skłonił ich do tej pracy.

J. Nieborski.

WSPOMNIENIA POŚMIERTNE.

LEOPOLD RANKE.

Gdy przed kilku laty sędziwy badacz zapowiedział opracowanie historii powszechnej i szybko wydał parę jej tomów początkowych, przypatrywano się temu obywateliu przedsięwzięciu i tej niewyčerpanej sile z zdumieniem. Ranke bowiem dowiódł, że życie jego już pracę nieustająca, że w długolichich swych studiach zebrał wielkie zapasy wiedzy, ale nikt nie przypuszczał, aśoby w tak późnym wieku starczyło mu energii do wykonania dzieła, o które zaledwie czwartej umysły pokusić się mogą. Rzeczywiście nie dokonał go, ale to, co zrobił, nade wszystko stała się pewnością, z jaką odpowiedział

się cel osiągnąć, jest rzeczywiście bezprzykładną. Zaledwie dotarł do wieków średnich, a zaręczał przyjaciółmi, że „wcale nie dużo mu już pozostało.” Miał on całe dzieło w głowie, z której potrzebował nie tylko na papier przenieść.

Prace jego, poprzeczające to główne dzieło, dotyczyły różnych czasów i narodów, chociaż przeważnie zamykały się w wieki XVI i XVII. To należało: *Historia Francji, Historia Anglii, Księstwa i narody* (wszystko w ramach tego okresu), *Historia Niemiec w epoce reformacji*. Obok tych monografií były obrazy ogólniejsze: *Papieża rzymyjskiego, Historia ludów germańskich i romańskich, Historia Prus i wiele innych.*

Ranke był historykiem kroju nieco przestarzałego, mianowicie badaczem stosunków polityczno-dyplomatycznych. Więcej go zajmowały rządy, niż rządzi. Dwory — nie narody. Cała skrupa życia dziejowego występowała w jego opisie szczegółowo, różnił ten w niej lekko tylko szkielet. Jego Clio przedła swą opowieść w gabinetach z sztywnej kadzielní, nie śród tłumów z prostych mówów.

Naturalną też była mniejsza popularność autora w szerszych kręgach czytającej publiczności, niż w szuflach półek dwóch wieków. Pierwsze ceniły go, jako erudyte, drugie — obywateli zaszczepiały. Umarł w godnościach i łaskach całej monarchii rosyjskiej.

Pod koniec życia z osłabionym wzrokiem nie mógł sam ani czytać, ani pisać; trzymał więc całą kancelaryę naukową, w której kilkunastu zaledwie mogło nadążyć pospieszono tego starca. Zamęczał ich pracą, a sam do ostatnich chwil, kiedy już mowę stracił, nie czuł się utrudzonym. Odżywką w chorobie przytomność, chciał wstawać i dyktować. Takie lityny pracy pojawiały się tylko w Niemczech.

JERZY WAITZ.

Równocześnie z Rankem zwalił się drugi wielki bóg historiografii niemieckiej. Mniej od swego towarzysza pozostawił dzieł, ale więcej sympatycznych wspomnień. Wielu z tytułami jego zasług naukowych, obok głównych w wydawnictwie *Monumenta Germaniae historica*, są prace: *Niemiecka historia konstytucyj, Historia Szwecji-Holsteinu, Zwłaszcza pierwsze z tych dzieł, sięgające tylko do wieku XII, jest pomnikiem i na długo pozostanie podstawą dla przyszłych badawców. W czasopiśmie historycznym Sybilla pomieścił rozprawę o pierwszym podziale Polski, równo gruntowną, jak sprawiedliwą.*

Na literaturze jednak nie ograniczają się zabiegi Waitza. Jego seminarium uniwersyteckie w Getyndze było jedną z najznakomitszych i najżywiejszych tego rodzaju szkół przygotowawczych. Wyszli stamtąd długi szereg uczonych różnych narodowości, którzy w ożywionej odznaczyli swe imiona. Z polaków uczniami Waitza byli: Piłłski autor *Dziejów bezkrólewia po śmierci Zyg. Augusta*, Pawłowski prof. nauk. warsz., Dobrzyński, Smolka prof. un. jag. i inni. To też gdy w r. 1874 przypadł 26-letni jubileusz istnienia seminarium Waitza, różnych i odległych stron przybyli na tę uroczystość wdzienic uczniowie do swego przodownika. U nas, gdzie ani takie szkoły naukowe, ani tacy mistrze nie istnieją, niezrozumiały wydać się może ogółowi zarówno ta zasługa, jak wdzięczność, ale którzy pierwszą poznali, a drugą odczuli, wiedzą, kogo i ile nauka przez śmierć Waitza straciła.

JAN DOBRZAŃSKI.

Zmarł we Lwowie człowiek, którego Lam, nazywając żartobliwie Janem IV, poniekąd określił trafnie. Niewiele publicystów polskich cieszyło się taką, jak Dobrzański, popularnością. Zwłaszcza dla niższych sfer społeczeństwa był on, wprawdzie — polityczną. Przygotowywał się do zawodów literackich w współpracownictwie w kilku pismach. r. 1848 założył dziennik *Rząd narodowy*, którą później zamienił na *Gazetę narodową*. Tegorok, jako rekrut wysłał go do twierdzy, przebył tam lat dwa. W r. 1854, przy pomocy Dzierżkowskiego, Zacha-

ryasiewicza, Kosińskiego, Ujejskiego rozpoczął wydawać pismo belorzytystyczne *Nowiny*, które potem przekształciły się na *Dziennik literacki*. W r. 1862 wskrzesił *Gazetę narodową*, którą niedawno dopiero sprzedał dr. Czerwińskiemu.

W organie tym objął się namietany, porwany, wybuchowy a mało krytyczny temperament redaktora. *Gazeta narodowa* stała się dziennikiem najbardziej wpływowym w Galicji, a jednocześnie najmniej rozsądnym. Wszelki alarm polityczny objął się bez przeszkody i jej łamach. Nie z rachuby i chęci balamutacji opili, ale z szowinizmu, w gorące patryotyczne Dobrzański przyjmował wszystko bez kontroli, co pod jego czerwona w tym kierunku barwę podchodziło. Jego mocne podniebowywanie prawdy były przysłowiowe. Błądził jednak w dobrej wierze.

Obok gazety prowadził teatr, który go w ostatnich latach całkowicie pochłoniął. Resztę życia spędził w niemoicy fizycznej i do śmierci przygotowywał się długo.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Teatr. P. W. Saymanowski, utalentowany komik powrócił na scenę warszawską, wprawdzie jako gość tylko, ale pożądanym, żeby pozostał na stałe.

— Trupa poznańska, w której znajduje się kilku utalentowanych artystów, rozpoczęła przedstawienia w teatrze Alhambra.

Teatr rosyjski. Artyści teatrów moskiewskich przedstawili w naszym ciągu utwór Polichina: *Występni i Uboduchom* oraz sławny dramat Ostrowskiego, t. j. *Buzza*. Recenzenści podczelonych zwracają uwagę, że we wszystkich komedjach występują dotychczas wyłącznie prawie typy ujemne, jest to rzecz bardzo naturalna, gdyż są to utwory satyryczne. Komedje i dramaty rosyjskie nie odznaczają się misterną budową akcji, są to często szeregi bardzo luźnych obrazów, przedstawiających ze sobą prawdę tylko realne. *Buzza (Groz)* ma być rodzaj kupców rosyjskich, „królestwo ciemności” — jak nazwał je Dobrołubow — który z powodu tego dramatu napisał najznakomitsze swe studjum krytyczne. W ponurą atmosferę ciemnoty, barbarzyjskiego zastój i tyrani rodzinnej rozgrywa się dramat, pozbawiony sztucznych efektów, ale wstrząsający widzów wrażeń odpowiedzialnością strasnej rzeczywistości. Wobec realizmu repertuaru teatr rosyjskiej, ga artystów, jakkolwiek są to sily doborowe, nosi niekiedy jeszcze cechy starej szkoły, chociaż niktleyko jej nie, ale i dostatek.

Giełda produktowa otwarta została w Warszawie.

Komisja. Wskutek przedstawień fabrykantów moskiewskich o zaprowadzenie granicy celnej i przedświadczenie innych środków, utrudniających współzawodnictwo przemysłowe z Królestwa, wysłana została specjalna komisja dla zbadania na miejscu warunków, w jakich rozwija się przemysł tutejszy gdyż o jego rozmiarach i działalności rząd posiada obecnie bardzo niedokładne dane.

Zajęta. P. S. Krzeczowski zapisał warszawskiemu Towarzystwu dobroczynności dwa domy, których wartość po potrąceniu długów wynosiła około 100,000 rs. Obszarowa zastrzeżenie sobie tylko dożywocła, w sumie 2,000 rs. rocznie.

Wybuchy Etny zwlekły się, znowu, strumieniem lawy dosięgają jej miasta Cotań, z którego mieszkający uciekli.

Konkurs. Rada uniwersytetu warszawskiego ogłasza temat dla ubiegania się o aspiroz, imienia Adama Chojeńskiego? Krótki rys historyczny wyparła słowna lechlickich przed Niemców z nad Elby, Odry i Wisły i pobrzeży morza Bałtyckiego, ze szczegółowym wykładem przyczyn tego zjawiska. Wykład winien być popularny i zupełnie przedmiotowy. Dzieło, napisane lub wydrukowane w języku rosyjskim, ma być nadesłane przed 6 kwietnia 1888 r. Nagroda wynosi 900 rubli. Wydział nagrodzonego dzieła w języku polskim lub rosyjskim pozostawia się uznaniu autorów.

Gimnazjum żeńskie będzie otwarte w Łodzi jednocześnie z mekiem, t. j. z początkiem nowego roku szkolnego, potrzebna na pierwsze urządzenie suma zbrano ze składek.

Kraszewski stanowczo nie wraca do Magdeburga, kaucya złożona przezeń prepa. Gazety niemieckie przypominają jednak, że wieści o dal zapewnień powrotu i wienów go dotrzymać. Uwaga ta byłaby zupełnie słuszną, gdyby nie żądano kaucyi.

Wieża Babel P. Okręt otrzymał pozwolenie na wydawnictwo „Codziły giełdy warszawskiej” w językach: polskim, rosyjskim, francuskim i niemieckim, stosownie do życzenia prenumeratorów. Brakuje jeszcze targow.

Z Akademii umiśnietności. Na posiedzeniu wydziału filologicznego prof. L. Malinowski przedstawił odpis zabytków języka polskiego z rekonstu wieku XV, zachowanego w bibliotece kapituły w Pradze. Są to, ustępy z przekładu Pisma świętego. Język zabytku, z mąim wyjątkiem, wolny jest od wpływow czeskich.

Serwitut niemiecki. W uniwersytecie warszawskim słucha wykładów ks. Thurn und Taxls, Młody panek nie chodzi na prelekcje, ale wszyscy profesorowie wykładać mu kursy w jego własnym mieszkaniu.

Zmarli. Dr. Auspitz, profesor uniwersytetu wiedeńskiego, sławny dermatolog.

— Erazm Wołński, poesi do sejmu lwowskiego i rady państwa w Wiedniu.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Wład. Pe Odpowiedzi Pańska wcale rozumowania naszego nie obala. Bo 1) trudno uważać jako ważny rys pałacowa sympatje katolików niemieckich, która, ani wykwiłtów polaków za tyle usług wojenowych; 2) nie ultramontanizm odebrał polakom ziemię i przywileje, ale stracił on je w tym związku; 3) pewne objawy ruchu umysłowego i artystycznego w Północnym Niemczech, ale jakie one są słabe w porównaniu nawet z Galicją Wielkopolską jest pod tym względem z dziełami polskich najbardziej martwa Biedopoda. O żołnierskich zaletach poznać możemy w wojnie francusko-pruskiej nie mówiliśmy, zalety takie wogóle nie należa do cech cywilizacyjnych — więc i obrona sz. Pana była niepotrzebna. Zresztą o co chodzi: chyba odpowiedź siedzia w powyższej sprawie, *Dziennik poznański*, również wyraził kol do centrum za Płotowe uniejęć rak przy obradach nad ustawą kościelną.

P. A. Koźł. Jeszcze nie wyszedł.
P. D. Nar. w *Lubach*, Dziecięcego Pana niektóre przydatkowe wyrażenia, nie oddajdmy; Inne są rzeczywiście błędami stylu lub druku; zamiast: według wiarogodnych zwycięzcy winno być: „zawzięci,” zamiast: „towarzyszyli głosowi pów,” winno być: „spisali się do głosu pów,” zamiast: „głosu drobnych rozników,” winno być: „sprawie” (nr 19, art. „Ory.” *Niewinni, Piękna, O Makary* — wyzerpca. *O powst. pr. moral. rs. 1,50, Dramaty (jednostkowe) rs. 1, 05, cię (powiatki) kop. 50, Kl. Boruta kop. 40. Inne prace osobno wydane nie były.*

P. L. Frejz. w *MR* Przykre to, ale... trzeba znać okoliczności.

J. G. Na bezmiennie pytania listownej odpowiedzi poście resztę nie damy.

P. Janowi S. w *P. Nie.*

P. T. Z. O kasażę tej mamy już sprawozdanie które czeka miejsca.

P. W. Luk. w *Granadzie*. Odpowiedzieliśmy do Londynu, że się szagamy.

Litaworowi. Nie można użytkować. Wiersz tłumaczony z łunaszczyna — nie.

P. Fr. Gwosdzkiemu. Prosimy o adres, gdyż list nam wrócił.

Ogłoszenia.

SPÓŁKA NAKŁADOWA wydała studjum etnograficzno-społeczne W. Smoleńskiego p. t.:

DROBNA SZLACHTA

W KRÓLESTWIE POLSKIM.

Cena kop. 60.

LAKIERY i FARBY

polecają

ZAKŁADY PRZEMYSŁ.-CHEMICZNE

W. KARPINSKI & W. LEPPERT

w Warszawie, Elektoralska 37.

Wielki medal srebrny.

Chemiki francuski i galii.

10-24

NIZINY

powieść

Elizy Orzeszkowej

wydanie ozdobne, z ilustracjami E. M. Andriollego.

Cena rubel jeden.

Nakład Autorki, do nabycia we wszystkich księgarniach.

W Administracji Prawdy nabyć można:

J. Brandesa

Główne prądy literatury XIX-go wieku.

Tomy: I, II, III po rs. 1 k. 50, tom IV rs. 2, razem rs. 6 (z przesyłką).

Tom V, zawierający Szkołę romantyczną we Francji, (z wydawnictwa Spółki Nakładowej) rs. 2.

BOLESŁAWA PRUSA

(Aleksandra Głowackiego)

SZKICE i OBRAZKI

tomów 4, z portretem autora

Całość rs. 5, każdy tom pojedynczo rs. 1 kop. 50.

Tom pierwszy zawiera utwory następujące:

Nowy rok. — Żywy telegraf. — Na wakacjach. — Kocha nie kocha? — Katarzyna. — W Górach. — Kamizelka. — Cienie. — Pomiędzy. — Przegląd szczęście. — Przy świątyni. — Milkanie głosu. — Stara bajka. — Pięć światła.

Tom drugi:

Orestes i Pylades. — On. — Podwójny człowiek. — Na pograniczu. — Echa muzyczne. — Pan Dudkowi i jego folwark. — Grecy dzieciństwa.

Tom III: powieść p. t.: „Anielka,“ (Chybiona powieść).

Tom IV: powieść „Dusze w niewoli.“

Przesyłający pieniądze bezpośrednio do kantora Spółki kosztów porta pocztowego nie ponoszą.

SPÓŁKA NAKŁADOWA.

Zielna 7-A.

Nakładem Prawdy

wydana została i jest do nabycia książka p. t.:

MĘCZENNICZY MYŚLI.

Cena rs. 1. (wraz z przesyłką pocztową).

L. G. TISSEN, OGRODNIK

w majątku Kalkunen, pod Dynaburgiem, poleca na wiosnę 1886 r.

DRZEWIA OWOCOWE

moone, jako to: jabłonie za sztukę 40 i 50 kop., gruszek, wiśnie, śliwki za sztukę 50 k.

Wszystkie drzewa sadzone były w polu nienawożonem, korzenie mają moone, co, jak wiadomo, dowodzi, że przyjęcie nie jest wątpliwem.

Katalog wszelkich znajdujących się w zakładzie drzew itd. można otrzymać bezpłatnie.

Zapasy tak obfite, że jestem w stanie zadość uczynić największym zamówieniom nabywców.

3-3

ZAKŁAD FOTOGRAFICZNY

B. MARION

Ulica Senatorska Nr. 32

wprost kościoła b. OO. Reformatów.

Polecam grupy osób z natury i składane.

Kopie z fotografii, obrazów i dzieł sztuki.

Zwykłe zdjęcia fotograficzne osób od naturalnej wielkości do miniatury w formatach.

Posiadając liczny zastęp pracowników, oraz zapasowe aparaty, przyjmuję zdjęcia na prowincji, jak: grup zbiorowych, widoków, osób zmarłych itp.

Robota moja wytrzymuje krytykę najsurowszych znawców, wszelkie obstalunki wykonywane w ciągu dni pięciu.

Ceny przystępne, dla uczących się i duchownych znacznie niższe.

3-3

B. MARION. Senatorska 32.

Nakładem Prawdy wyszło ilustrowane dzieło słynnego badacza angielskiego J. E. Taylora p. t.:

ZMYŚLNOŚĆ i MORALNOŚĆ ROŚLIN

w przekładzie J. K. Potockiego.

Książka ta, która liczy zaledwie parę miesięcy a już zapowiadana jest w przekładach na kilka języków europejskich, w mistrzowski sposób, w niegwałtownych sformułowaniach naukowych upodobnieniach stosunków roślinnych do ludzkich popularyzuje prawdy i najnowsze odkrycia botaniczne, otwierając najmniej przygotowanemu nowy a uroczy świat zjawisk.

Treść: Przebiegłość kwiatów. — Ich dyplomacja. — Gra w chowanego. — Obrona nie zaczepka. — Współdziałalność. — Społeczne i państwowe gospodarstwo roślin. — Ubóstwo i bankructwo. — Rabunek i morderstwo. — Odwrotna strona medalu. — Geograficzne rozpowszechnienie roślin.

Cena (w gustownej oprawie) rs. 2; dla abonentów naszych, rs. 1 k. 50.

Zwracający się z zadaniami bezpośrednio do naszej Administracji kosztów przesyłki pocztowej nie ponoszą.

SPÓŁKA NAKŁADOWA

poleca następujące wydawnictwa swoje: Chmielewski Piotr dr. Antorki Polskie wieku XIX, studium literacko-obywatelskie, ozdobione sześcioma portretami, str. 541 rs. 2 kop. 50.

Jerzy Brandes: Główne prądy literatury europejskiej XIX w. Tom V. Szkoła romantyczna we Francji, z portretem autora str. 402 rs. 2.

Herbert Spencer: Zasadzi etyki, z 3-go wydania oryginału angielskiego przełożył Jan Karłowicz rs. 2.

Światło. książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono wybitniejszych pisarzy polskich, w ozdobnej oprawie, z drzeworytami w tekście rs. 1 kop. 80

Stanisław Krąpski: O postaci i ciężarze ziemi kop. 50.

Nabywający dzieła powyższe w kantorze Spółki (Zielna 7-A) kosztów przesyłki nie ponoszą.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincji upraszam o natychmiastowe doniesienie nam o każdym opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorem „PRAWDY“ otrzymamy przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.